

OPOWIEŚCI Z NARNII

Siostrzeniec Czarodzieja
Lew, Czarownica i stara szafa
Koń i jego chłopiec
Książę Kaspian
Podróż „Wędrowca do Świtu”
Srebrne krzesło
Ostatnia bitwa

C.S. LEWIS
**LEW, CZAROWNICA I STARA
SZAFA**

Ilustrowała Pauline Baynes

Przełożył Andrzej Polkowski

Media Rodzina of Poznań
Tytuł oryginału THE LION, THE WITCH AND WARDROBE
Okładkę projektował Jacek Pietrzyński
Copyright © CS Lewis Pte Ltd 1950
Copyright © 1996 for Polish edition by Media Rodzina of Poznań
Copyright © 1996 for Polish translation by Andrzej Polkowski
ISBN 83-85594-32-9
Przekład poprawiony
Media Rodzina of Poznań, ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań tel. 20-34-75, fax 20-34-11
Skład, łamanie i diapozytywy perfekt s.c, Poznań, ul. Grodziska 11
Druk i oprawa: Zakład Poligraficzny „Abedik”, Poznań, ul. Ługańska 1, tel. 877 40-68

DO LUCY BARFIELD

Moja Droga Lucy,

Napisałem tę opowieść dla ciebie, ale kiedy zaczynałem ją pisać, nie zdawałem sobie sprawy, że dziewczynki rosną szybciej niż książki. W rezultacie jesteś już za stara na bajki, a kiedy tę książkę wydrukują i oprawią, będziesz jeszcze starsza. Pewnego dnia będziesz jednak dostatecznie stara, aby znowu do bajek wrócić. Możesz wtedy zdjąć tę książkę z jakiejś wysokiej polki, odkurzyć i powiedzieć mi, co o niej myślisz. Prawdopodobnie będę wtedy tak głuchy, że nie będę nic słyszał, i tak stary, że nie będę niczego rozumiał, ale na pewno będę wciąż

twoim kochającym cię ojcem chrzestnym,

CS LEWIS

Rozdział 1
ŁUCJA ZAGLĄDA DO SZAFY

BYŁO RAZ CZWORO DZIECI: Piotr, Zuzanna, Edmund i Łucja. Opowiem wam o tym, co im się przydarzyło. Podczas wojny wysłano je z Londynu na wieś, aby były bezpieczne w okresie bombowych nalotów na miasto. Zamieszkały w domu pewnego starego Profesora, który żył w głębi kraju, na wsi, dziesięć mil od najbliższej stacji kolejowej i dwie mile od najbliższej poczty. Profesor nie miał żony i mieszkał w wielkim starym domu, ze swoją gospodynią, panią Macready, i jej trzema pomocnicami. (Jeżeli już chcecie wiedzieć, to nazywały się Ivy, Margaret i Betty, ale w tej historii nie odegrały większej roli.) Profesor był bardzo stary i miał krzaczastą, białą brodę, która łączyła się z równie siwą czupryną, a rosła tak gęsto i obficie, że na twarzy pozostawało już niewiele wolnego miejsca. Dzieci szybko go polubiły, choć przy pierwszym spotkaniu w drzwiach starego domu wydał im się postacią tak bardzo dziwną, że Łucja (która była najmłodsza) trochę się go przestraszyła, a Edmund (który był następnym w kolejności wieku) o mało nie wybuchnął śmiechem; uratowała go chusteczka, w której ukrył twarz udając, że wyciera nos.

Pierwszego wieczora, kiedy dzieci powiedziały już Profesorowi dobranoc, pobiegły na górę do swoich sypialni. Tyle było jednak spraw do omówienia, że przed położeniem się do łóżek chłopcy przyszedli do pokoju dziewczynek na krótką naradę.

— No, to się nam udało, nie ma co — powiedział Piotr. — Założę się, że tu będzie fantastycznie. Ten stary pozwoli na wszystko, co tylko nam przyjdzie do głowy.

— Uważam, że to strasznie miły staruszek — powiedziała Zuzanna.

— Och, dajcie spokój — przerwał im Edmund, który był już zmęczony, a pragnął sprawić wrażenie nie zmęczonego, co zawsze wprawiało go w zły humor. — Przestańcie tak gadać.

— To znaczy jak gadać? — spytała Zuzanna. — A w ogóle powinniście już leżeć w łóżku.

— Próbujesz przemawiać jak mama — powiedział Edmund. — A kim ty właściwie jesteś, że mówisz mi, kiedy mam iść do łóżka? Sama sobie idź do łóżka.

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli wszyscy pójdziemy już spać — wtrąciła się Łucja. — Jak usłyszą, że jeszcze rozmawiamy, będzie awantura.

— Nie będzie żadnej awantury — powiedział Piotr. — Mówię wam, że to taki dom, w którym nikt nie będzie sobie specjalnie zawracał głowy tym, co robimy. A zresztą i tak nas nie usłyszą. Z jadalni idzie się tu prawie dziesięć minut przez te wszystkie korytarze i schody.

— Co to za dziwny odgłos?! — spytała nagle

Łucja. Nigdy jeszcze nie była w tak dużym domu i na samą myśl o tych wszystkich długich korytarzach, z rzędami drzwi wiodących do pustych pokojów, ciarki przebiegły jej po plecach.

— To tylko jakiś ptak, głuptasie — powiedział Edmund.

— To sowa — powiedział Piotr. — Wygląda mi na to, że trafiliśmy do prawdziwego rajy dla ptaków. Jeśli chodzi o mnie, to idę do łóżka, a wam radzę zrobić to samo. Od jutra rozpoczynamy badanie okolicy. W takim miejscu można znaleźć rzeczy, o jakich wam się nie śniło. Widzieliście te góry w pobliżu? A te lasy? Tu mogą być orły. Mogą być jelenie. I jastrzębie.

— Borsuki! — dodała Łucja.

— Lisy! — dodał Edmund.

— Króliki! — dodała Zuzanna. ;

Ale następnego ranka obudziło ich monotonne bębnienie deszczu, tak gęstego, że przez okno nie było widać ani gór, ani lasów, ani nawet strumyka płynącego przez ogród.

— Oczywiście MUSI padać! — stwierdził Edmund. Właśnie skończyli śniadanie z Profesorem i byli już na górze, w pokoju, który im przydzielono. Był to długi, niski pokój z dwoma oknami wychodzącymi na dwie różne strony świata.

— Och, Edziu, proszę cię, przestań narzekać — powiedziała Zuzanna. — Stawiam dziesięć do jednego, że przejaśni się w ciągu godziny. Tymczasem nie jest tak źle. Mamy radio i mnóstwo książek.

— Jeżeli chodzi o mnie, to na razie nie skorzystam — wtrącił Piotr. — Zamierzam najpierw dokładnie zwiedzić ten dom.

Wszyscy chętnie na to przystali i tak zaczęły się ich przygody. Dom był pełen zakamarków i niespodzianek, wielki, z rodzaju tych wielkich domów, co to zdają się nigdy nie mieć końca. Jak można było się spodziewać kilkoro pierwszych drzwi, które otworzyli, wiodło do pustych sypialni, wkrótce jednak doszli do bardzo długiego pokoju pełnego obrazów na ścianach; odkryli tu kompletną starą zbroję. Dalej był pokój obity zieloną tkaniną, ze stojącą w rogu harfą, następnie przejście prowadzące trzy stopnie w dół, a potem pięć stopni w górę, za nim niewielka komnata z drzwiami na balkon, a dalej cały szereg połączonych ze sobą pomieszczeń z półkami pełnymi książek, przeważnie bardzo starych, niektóre z nich były z pewnością większe od Biblii w kościele. Wkrótce potem dotarli do prawie pustego pokoju, w którym stała stara szafa z dużym lustrem w drzwiach. Nie było tu nic więcej, jeśli nie liczyć stojącej na parapecie pustej butelki z niebieskiego szkła.

— Tu nic nie ma! — stwierdził Piotr i wszyscy poszli dalej. Wszyscy — oprócz Łucji, która pomyślała sobie, że warto by na wszelki wypadek sprawdzić, czy drzwi szafy nie dadzą się otworzyć, choć była prawie pewna, że będą zamknięte. Ku jej zdumieniu otworzyły się z łatwością, a na podłogę wypadły dwie kulki naftaliny.

Kiedy zajrzała do środka, zobaczyła rząd wiszących płaszczy. Były to przeważnie futra, a trzeba wam wiedzieć, że dla Łucji nie było nic miłszego nad zapach i dotyk futer. Nie wahając się ani chwili, weszła do szafy i zanurzyła się w futrach, z rozkoszą wtulając w nie twarz. Oczywiście nie zapomniała o pozostawieniu otwartych drzwi, ponieważ wiedziała, że to bardzo głupio przypadkowo zamknąć się w szafie. Postąpiła krok czy dwa w głąb i stwierdziła, że wewnątrz jest jeszcze drugi rząd płaszczy. Tutaj było już prawie zupełnie ciemno i Łucja wyciągnęła ręce przed siebie, by nie uderzyć głową w tylną ścianę szafy. Zrobiła jeszcze jeden krok naprzód, potem jeszcze dwa lub trzy, wciąż spodziewając się, że końcami palców dotknie drewnianej ściany. Ale nic takiego nie nastąpiło. „To musi być naprawdę ogromna szafa” — pomyślała, posuwając się wciąż dalej i rozgarniając miękkie futra, aby zrobić sobie miejsce. Nagle zauważyła, że coś skrzypi pod jej nogami. „To chyba kulki naftaliny”, pomyślała i schyliła się, chcąc namacać je ręką. Ale zamiast twardego i gładkiego drewna podłogi wyczuła coś miękkiego, sypkiego i zimnego.

— To bardzo dziwne — powiedziała do siebie i zrobiła jeszcze krok lub dwa.

Teraz jej twarz i ręce przestały wyczuwać miękkość futer, a napotkały coś twardego i szorstkiego, a nawet kłującego.

— Ależ to zupełnie przypomina gałęzie drzew! — wykrzyknęła i nagle zauważyła jakieś światło. I to wcale nie kilkanaście centymetrów przed sobą, tam gdzie powinna być tylna ściana szafy, lecz w oddali. W chwilę później zdała sobie sprawę, że stoi pośrodku lasu, jest noc, pod nogami ma najprawdziwszy śnieg, którego płatki wirują w powietrzu.

Łucja trochę się przestraszyła, ale jednocześnie była ciekawa i podniecona. Spojrzała przez ramię za siebie. Między czarnymi pniami drzew wciąż widziała otwarte drzwi szafy, a nawet kawałek pustego pokoju. (Oczywiście zostawiła drzwi otwarte, ponieważ pamiętała, że to bardzo głupio

zamknąć się w szafie.) Wyglądało na to, że w pokoju nadal jest dzieńne światło. „Gdyby coś było nie w porządku, zawsze mogę wrócić” — uspokoiła się i zaczęła iść przez las, skrzyp-skrzyp po śniegu, ku dziwnemu światłu przed sobą.

Kiedy po blisko dziesięciu minutach doszła do światła, przekonała się, że to świeci latarnia na słupie. A kiedy tak stała i patrzyła na nią, rozmyślając, skąd się wzięła latarnia w środku lasu i co robić dalej, usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Wkrótce potem bardzo dziwna postać z parasolem wynurzyła się spomiędzy drzew i weszła w krąg światła rzucany przez latarnię.

Dziwna istota była tylko trochę wyższa od Łucji. Od pasa w górę przypominała człowieka, ale jej nogi były nogami kozła (pokrytymi czarną, połyskującą w świetle latarni sierścią), a zamiast stóp miała najprawdziwsze kopytka. Miała też ogon, choć w pierwszej chwili Łucja go nie zauważyła, ponieważ był elegancko przewieszony przez trzymającą rozłożony parasol rękę, zapewne po to, aby nie ciągnął się po śniegu. Szyję otulał czerwony, wełniany szalik, a jej skóra miała również lekko czerwoną barwę. Twarz wędrowca była dziwna, lecz miła. Miał krótką, ostro zakończoną bródkę i kręjące się włosy, z których wystawały dwa małe różki. W jednej ręce, jak już powiedziałem, trzymał otwarty, biały od śniegu parasol, w drugiej — kilka paczek owiniętych w brązowy papier, jakby wracał z zakupów przed Bożym Narodzeniem.

Był to faun. Kiedy zobaczył Łucję, tak gwałtownie podskoczył z wrażenia, że wszystkie paczki wypadły mu z rąk.

— Boże miłosierny! — wykrzyknął.

Rozdział 2

CO ŁUCJA TAM ZOBACZYŁA

DOBRY WIECZÓR — powiedziała Łucja.

Faun był tak zajęty zbieraniem swoich paczek, że w pierwszej chwili nie odpowiedział na jej powitanie. Dopiero kiedy skończył, lekko się skłonił i powiedział:

— Dobry wieczór, dobry wieczór. Najmocniej przepraszam, nie chciałbym być zbyt natrętny, ale czy nie mylę się sądząc, że jesteś Córką Ewy?

— Mam na imię Łucja — odpowiedziała, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Ale czy nie jesteś, proszę mi wybaczyć, czy nie jesteś kimś, kogo się nazywa „dziewczynką”? — zapytał faun.

— Oczywiście, że jestem dziewczynką — zgodziła się Łucja.

— Czy to znaczy, że jesteś człowiekiem?

— Oczywiście, że jestem człowiekiem — powiedziała Łucja coraz bardziej zdziwiona.

— Naturalnie, naturalnie. Cóż za głupiec ze mnie! Ale proszę zrozumieć, jeszcze nigdy nie widziałem Syna Adama lub Cóрки Ewy. Bardzo się cieszę. Trzeba ci bowiem wiedzieć... — i tu urwał, jakby miał powiedzieć coś, czego nie zamierzał, ale w porę ugryzł się w język. — Bardzo mi przyjemnie. Pozwól, że się przedstawię. Nazywam się Tumnus.

— Miło mi pana poznać, panie Tumnusie — powiedziała Łucja.

— A czy wolno mi zapytać, o Łucjo, Cóрко Ewy, w jaki sposób znalazłaś się w Narnii?

— W Narnii? A co to takiego? — zapytała Łucja.

— Przecież znajdujemy się w kraju, który nazywa się Narnią. Wszystko, co leży między Latarnią a wielkim zamkiem Ker-Paravelem nad wschodnim morzem — wszystko to należy do Narnii. A ty, ty zapewne przybywasz z Zachodniej Puszczy?

— Ja... ja przyszedłam tu ze starej szafy w garderobie — wyjąkała Łucja.

— Ach! — westchnął pan Tumnus melancholijnie. — Gdybym tylko trochę bardziej przykładał się do geografii, kiedy byłem małym faunem, to bez wątpienia wiedziałbym wszystko o tych dalekich i dziwnych krajach. Teraz już na to za późno.

— Ale to wcale nie są żadne kraje — powiedziała Łucja, rozbawiona. — To jest tam, zaraz za nami... a w każdym razie... no, nie jestem taka pewna. Tam jest lato.

— Jednakże — zauważył pan Tumnus — w Narnii jest zima, i to od tak dawna! Jeżeli będziemy tak stać i rozmawiać w tym śniegu, to możemy się przeziębnić. Czy Córka Ewy z dalekiego kraju Garderoby, gdzie panuje wieczne lato wokół prześwietnego miasta Staraszafa, nie zechciałaby przyjąć zaproszenia na mały podwieczorek?

— Bardzo panu dziękuję, panie Tumnusie — powiedziała Łucja — ale zastanawiałam się właśnie, czy nie powinnam już wracać.

— To zaledwie parę kroków stąd — nalegał faun. — Będzie też ogień na kominku i grzanki, i sardynki, i ciasto...

— To bardzo uprzejme z pana strony — powiedziała Łucja. — Ale naprawdę nie będę mogła zostać zbyt długo.

— Gdybyś zechciała wziąć mnie pod rękę, Córko Ewy, to parasol osłoni nas oboje. Idziemy w tamtą stronę. A więc — w drogę!

I w ten sposób Łucja szła teraz przez las, trzymając pod rękę tę dziwną istotę, jakby znali się od urodzenia.

Nie uszli daleko, gdy teren stał się bardziej pofałdowany, naokoło pojawiły się skały i niezbyt wysokie wzgórza. Zeszli na dno płytkiego wąwozu i tutaj pan Tumnus skręcił nagle w bok, jakby miał zamiar wejść prosto na wyjątkowo dużą skałę, i dopiero w ostatniej chwili Łucja spostrzegła, że w skale jest wejście do pieczary. Kiedy znaleźli się w środku, oślepił ją blask ognia płonącego na kominku. Pan Tumnus schylił się, małymi, zgrabnymi szczypcami wyjął płonące drewnienko i zapalił lampę.

— Nie potrwa to długo — powiedział, stawiając imbryk na ogniu.

Łucja pomyślała sobie, że nigdy jeszcze nie widziała tak miłego domu. Była to niewielka, sucha i czysta pieczara, wykuta w czerwonej skale. Na podłodze leżał dywan, stały też dwa foteliki („Jeden dla mnie, drugi dla przyjaciela”, wyjaśnił pan Tumnus), stół i kredens, a nad gzymsem kominka wisiał portret fauna z siwą brodą. W rogu były drzwi, prowadzące zapewne do sypialni pana Tumnusa, a pod jedną ze ścian stała półka z książkami. Kiedy gospodarz przygotowywał podwieczorek, Łucja obejrzała sobie książki, wśród których natrafiła na takie dziwne tytuły, jak *Życie i pisma Sylena* albo *Nimfy i ich Życie*, albo *Ludzie, mnisi i leśnicy; studium znanej legendy*, albo *Czy człowiek jest mitem?*

— Wszystko gotowe, Córko Ewy! — oznajmił faun.

Był to naprawdę wspaniały podwieczorek: najpierw wyborne jajka na miękko, potem sardynki na grzankach, potem znowu grzanki z masłem, i jeszcze grzanki z miodem, a na koniec ciastko z lukrem. A kiedy Łucja już się najadła, faun zaczął opowiadać. Cóż to były za cudowne opowieści o życiu w puszczy! Opowiadał o zabawach w świetle księżycy, gdy nimfy — które mieszkają w źródłanych jeziorkach — i driady — które mieszkają w drzewach — wychodzą o północy na polanę, aby tańczyć z faunami; o gonitwach za mlecznobiałym jelonkiem, który może spełnić każde życzenie, gdy się go schwyta; o biesiadach z dzikimi Czerwonymi Karłami i o wyprawach po skarby ukryte w głębokich kopalniach i jaskiniach; a potem jeszcze o lecie, o tym, jak by to było dobrze, gdyby drzewa były znowu zielone i gdyby znowu odwiedził ich stary Sylen na swoim

grubym ośle, a może i sam Bachus; w strumieniach popłynęłoby wino zamiast wody, a wszyscy mieszkańcy lasu oddaliby się beztroskiej, trwającej tygodniami zabawie...

— Gdyby tylko nie było tej wiecznej zimy — zakończył ponuro faun.

Potem, jakby chcąc dodać sobie otuchy, wydobyl z leżącego na kredensie futerału dziwny, mały flet, wyglądający, jakby był zrobiony z trzciny, i zaczął na nim grać. Tęskny ton fletu sprawiał, że Łucji chciało się płakać i śmiać, tańczyć i spać jednocześnie. Musiały chyba minąć całe godziny, kiedy otrząsnęła się z zasłuchania i powiedziała:

— Och, drogi panie Tumnusie, tak mi żal, że muszę panu przerwać, bo tak strasznie podoba mi się ta muzyka, ale, naprawdę, muszę już wracać do domu. Miałam wpaść tylko na chwilę...

— Nie sądzę, żeby było najrozsądniej iść TERAZ — odpowiedział faun.

— Nierozsądnie? — Łucja zerwała się z fotela, trochę przestraszona. — Co pan ma na myśli? Muszę zaraz wracać do domu. Będą się o mnie niepokoić.

Lecz za chwilę, widząc dziwną zmianę w twarzy gospodarza, zapytała:

— Och, drogi panie Tumnusie, co się stało?

Błękitne oczy fauna napełniły się łzami, które zaczęły spływać mu po policzkach, zbierać się na czubku nosa i skapywać na ziemię, aż w końcu zakrył twarz rękami i gorzko zaszlochał.

— Panie Tumnusie! Panie Tumnusie! — zawołała Łucja przerażona. — Proszę przestać, błagam pana! Co się stało? Czy źle się pan czuje? Kochany panie Tumnusie, niech mi pan wreszcie powie, czy stało się coś złego?

Ale faun płakał dalej, jakby mu miało za chwilę pęknąć serce. Nie przestał szlochać nawet wówczas, gdy Łucja podeszła do niego, objęła go serdecznie i ofiarowała mu swoją chustkę do nosa. Płakał i płakał, teraz już w chusteczkę, wyzymając ją co jakiś czas, gdy stawała się tak mokra, że już więcej łez nie chciało w nią wsiąknąć.

— Panie Tumnusie! — krzyknęła wreszcie Łucja, potrząsając nim w rozpacz. — Proszę przestać! Proszę natychmiast przestać! Powinien się pan naprawdę wstydzić, taki duży faun jak pan. No i dlaczego, na miłość boską, tak pan ryczy?!

— Och, och, och — załkał pan Tumnus. — Płaczę, bo jestem bardzo złym faunem...

— Wcale nie myślę, że jest pan złym faunem — powiedziała Łucja. — Myślę, że jest pan bardzo miłym faunem. Naprawdę, jest pan najmiłszym faunem, jakiego zdarzyło mi się spotkać.

— Och, och, nie mówiłabyś tak, gdybyś wiedziała o wszystkim — odpowiedział faun w krótkiej przerwie między dwoma gwałtownymi atakami szlochu. — Nie, nie jestem wcale dobry, jestem bardzo zły.

— Ale co takiego pan zrobił? — spytała Łucja.

— Spójrz tylko na mojego starego tatę — powiedział pan Tumnus — tam, nad kominkiem, na portrecie. Nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

— Czego by nie zrobił?

— Tego, co ja zrobiłem — odrzekł faun. — Jestem sługą Białej Czarownicy. Oto, czym jestem. Zaprzedalem się Białej Czarownicy.

— Białej Czarownicy? Któż to taki?

— Jak to, nie wiesz? To przecież ona panuje nad całą Narnią. To ona sprawia, że zawsze jest zima. Zawsze jest zima, choć nigdy nie ma Bożego Narodzenia — sama tylko pomyśl!

— Ależ to okropne! — powiedziała Łucja. — Ale co TY właściwie dla niej robisz?

— To właśnie jest najgorsze — odpowiedział pan Tumnus i jęknął głucho. — Porywam dla niej dzieci, oto cała prawda. Popatrz na mnie, Córkko Ewy. Czy mogłabyś uwierzyć, że jestem takim faunem, co to spotyka w lesie biedne, niewinne dziecko, które nie zrobiło mu nic złego, udaje, że

się z nim zaprzyjaźnia, zaprasza je do swojego domu — a wszystko po to, aby je uśpić, a potem oddać w ręce Białej Czarownicy?

— Nie — powiedziała Łucja. — Jestem pewna, że pan nie zrobiłby niczego w tym rodzaju.

— Ale ja to zrobiłem — załkał faun.

— No, cóż... — powiedziała Łucja powoli (ponieważ chciała być sprawiedliwa, ale i niezbyt surowa). — Cóż, to rzeczywiście brzydko z pana strony. Ale żałuje pan tak szczerze... Jestem pewna, że to się już nigdy nie powtórzy.

— O Cóрко Ewy, czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz? — zapytał faun. — Nie mówię o czymś, co KIEDYŚ zrobiłem. Ja to robię TERAZ, w tej właśnie chwili...

— Co pan chce przez to powiedzieć?! — krzyknęła Łucja, a jej policzki zrobiły się nagle o wiele bielsze niż przedtem.

— To ty jesteś tym dzieckiem. Otrzymałem rozkaz od Białej Czarownicy, aby schwytać i oddać w jej ręce każdego Syna Adama i każdą Córkę Ewy, których kiedykolwiek spotkam w lesie. A ty jesteś pierwszą Córką Ewy, jaką spotykam. Robiłem wszystko, żebyś się ze mną zaprzyjaźniła, zaprosiłem cię na podwieczorek, ale przez cały czas, tak, przez cały czas myślałem tylko o tym, że kiedy cię uśpię, pójdę i powiem JEJ...

— Och, ale pan przecież tego nie zrobi?! — krzyknęła Łucja. — Nie robi pan tego, prawda? Przecież pan tego nie może zrobić!

— A jeśli tego nie zrobię — powiedział faun, wybuchając znowu płaczem — ona się o tym na pewno dowie. Każe mi odciąć ogon, odpiłować różki, wyrwać brodę, a potem machnie swoją różdżką nad moimi ślicznymi, rozszczepionymi kopytkami i zamieni je w okropne, bryłowate kopyta, jak u jakiejś nędznej szkapy. A jeżeli będzie na mnie szczególnie zła, zamieni mnie w kamień i będę tylko posągami fauna, aż do czasu, gdy cztery trony na Ker-Paravelu znowu zostaną zajęte, a Bóg jeden wie, kiedy to się stanie i czy w ogóle do tego kiedykolwiek dojdzie.

— Bardzo mi przykro, panie Tumnie — powiedziała stanowczo Łucja — ale proszę mi pozwolić iść już do domu.

— Pozwolę, rzecz jasna — odrzekł faun. — To oczywiste, że muszę tak postąpić. Teraz widzę to wyraźnie jak na dłoni. Nie miałem pojęcia, jacy są ludzie, zanim ciebie spotkałem. Teraz, kiedy już cię znam, wiem dobrze, że nie mogę cię oddać w ręce tej wiedźmy. Musisz jednak zaraz ruszać w drogę. Odprowadzę cię aż do Latarni. Myślę, że stamtąd trafisz już łatwo do Gar-Deroby i Staraszafy?

— Jestem pewna, że trafię — powiedziała Łucja.

— Musimy zachować najwyższą ostrożność. Cały las pełen jest jej szpiegów. Nawet niektóre drzewa są na jej służbie.

Tak więc pan Tumnus ponownie rozłożył parasol, podał Łucji ramię i pospiesznie wyszli z pieczary, nie dbając nawet o posprzątanie po podwieczorku. Tym razem droga nie przypominała już zupełnie miłego spaceru do pieczary fauna; przemykali się ukradkiem przez las, nie odzywając się do siebie, a pan Tumnus starał się wybierać najciemniejsze przejścia. Łucja odetchnęła z ulgą, kiedy dotarli wreszcie do Latarni.

— Czy stąd już pamiętasz drogę, Cóрко Ewy? — zapytał Tumnus.

Łucja wpatrzyła się w ciemność między drzewami i dostrzegła w oddali jasną plamkę, wyglądającą jak odbłask dziennego światła.

— Tak, widzę już drzwi szafy.

— A więc pędź do domu tak szybko, jak tylko potrafisz — powiedział faun. — I... czy b-będziesz mi mogła w ogóle przebaczyć to wszystko, o czym ci powiedziałem?

— Ależ naturalnie, wybaczam — powiedziała Łucja, ściskając mu serdecznie rękę. — I mam nadzieję, że nie wpadniesz przeze mnie w jakieś straszne tarapaty.

— Zegnaj, Córko Ewy — odpowiedział szybko faun. — A może... może mógłbym zatrzymać chusteczkę?

— Chyba tak! — powiedziała Łucja i popędziła w stronę plamki dziennego światła między drzewami tak szybko, jak potrafiła. I nagle, zamiast szorstkich gałęzi drzew, poczuła na twarzy miękkość futrzanych płaszczy, a zamiast skrzypiącego śniegu pod nogami — twardość drewnianej podłogi, aż raptem zdała sobie sprawę z tego, że wyskakuje przez otwarte drzwi szafy wprost do tego samego pokoju, w którym rozpoczęła się ta dziwna przygoda. Starannie zamknęła szafę i rozejrzała się wokoło, łapiąc oddech po szybkim biegu. Na dworze wciąż padało, a z korytarza dobiegły ją głosy rodzeństwa.

— Hej, jestem tutaj! — krzyknęła. — Jestem tutaj! Wróciłam! Nic mi się nie stało!

Rozdział 3

EDMUND WCHODZI DO SZAFY

Łucja wybiegła z pustego pokoju na korytarz, gdzie znalazła pozostałą trójkę rodzeństwa.

— Nic mi nie jest! — powtórzyła. — Już wróciłam.

— O czym ty, na miłość boską, mówisz, Łucjo?

— zapytała Zuzanna.

— Jak to? — zdziwiła się Łucja. — Czy nie martwiliście się o mnie?

— A więc schowałaś się przed nami? — powiedział Piotr. — Biedna Łusia, schowała się i nikt tego nie zauważył! Na drugi raz, jak będziesz chciała, żeby ktoś zaczął martwić się twoim zniknięciem, musisz posiedzieć w kryjówce trochę dłużej.

— Ale przecież nie było mnie przez całe godziny!

— krzyknęła Łucja.

Trójka rodzeństwa popatrzyła po sobie.

— Ona jest stuknięta! — powiedział Edmund, pukając się w czoło. — Kompletnie stuknięta.

— Co właściwie masz na myśli, Łucjo? — zapytał Piotr.

— To, co powiedziałam — odrzekła Łucja. — Zaraz po śniadaniu weszłam do szafy, nie było mnie całe godziny, jadłam tam podwieczorek i w ogóle zdarzyło się mnóstwo różnych rzeczy.

— Nie bądź głupia, Łucjo — powiedziała Zuzanna. — Dopiero co wyszliśmy z tego pokoju i ty tam jeszcze byłaś.

— Ona wcale nie jest głupia — powiedział Piotr. — Po prostu całą tę historię wymyśliła sobie dla żartu. Mam rację, Łucjo? Przecież nie ma w tym nic złego.

— Nie, Piotrze, niczego sobie nie wymyśliłam — powiedziała Łucja. — To jest zaczarowana szafa. W środku jest las i pada śnieg, i tam jest faun i Czarownica, i to się nazywa Narnia, a jak nie wierzycie, to idźcie i sami zobaczcie.

Dzieci nie wiedziały, co o tym sądzić, ale Łucja była tak wzburzona, że wszyscy wrócili do pustego pokoju. Łucja pierwsza podbiegła do szafy, otworzyła drzwi i zawołała:

— A teraz wejdźcie do środka i sami zobaczcie!

— No i co, głupia gąsko — powiedziała Zuzanna, wsadzając głowę do środka i rozchylając futra —

to przecież zwykła szafa. Popatrzcie, tu jest tylna ściana.

Potem każdy po kolei zaglądał do środka, rozchyłał płaszcze i — cóż, wszyscy, łącznie z Łucją, mogli sobie obejrzeć najzwyklejszą w świecie szafę. Nie było ani lasu, ani śniegu, jedynie tylna ściana szafy ze sterczącymi z niej hakami. Piotr wszedł do środka i zabębnił w nią pięściami, aby upewnić wszystkich, że jest to tylko zwykłe, twarde drewno.

— Znakomity kawał — powiedział po wyjściu z szafy. — No, Łucjo, naprawdę udało ci się nas nabrać. Prawie ci uwierzyliśmy.

— Ale to nie był żaden kawał — zaperzyła się Łucja. — To prawda. Jeszcze przed chwilą wszystko było inaczej. Naprawdę tak było. Przysięgam.

— Posłuchaj, Łucjo — powiedział Piotr — czy nie uważasz, że trochę przesadziłaś? Zupełnie nieźle sobie z nas zażartowałaś, ale teraz może byłoby lepiej dać temu spokój, co?

Łucja zaczerwieniła się i chciała jeszcze coś powiedzieć, ale ponieważ nie bardzo wiedziała co, wybuchnęła płaczem.

Przez następne kilka dni była bardzo biedna. Mogła z łatwością w każdej chwili przerwać tę niemiłą sytuację, gdyby tylko dla świętego spokoju przyznała, że wszystko to było wymyśloną przez nią dla zabawy bajką. Ale Łucja była bardzo prostolinijną dziewczynką i wiedziała, że w rzeczywistości to ona ma rację, toteż nie mogła się na to zdecydować. Pewność, z jaką inni uznawali jej opowieść za kłamstwo — i to bardzo głupie kłamstwo — sprawiała jej wielką przykrość. Co prawda starsze rodzeństwo wkrótce przestało jej dokuczać, ale Edmund potrafił być złośliwy, a w tym wypadku pokazywał, na co go stać. Bez przerwy kpił i naśmiewał się z biednej Łucji, wypytując ją, czy znalazła jakieś inne dziwne kraje w różnych kredensach i szafach w całym domu. A przecież te dni mogły być tak przyjemne! Pogoda była piękna i dzieci mogły teraz przebywać poza domem od rana do wieczora, łowiąc ryby, kąpiąc się, wspinając na drzewa i wylegując na wrzosowisku. Łucja nie potrafiła jednak cieszyć się tym wszystkim naprawdę. I tak było aż do następnego deszczowego dnia.

Tego dnia, kiedy już zrobiło się popołudnie i wciąż nie było najmniejszych oznak zmiany pogody, dzieci postanowiły zabawić się w chowanego. Pierwsza szukała Zuzanna. Gdy tylko reszta rozbiegła się w poszukiwaniu kryjówek, Łucja wśliznęła się do garderoby. Wcale nie miała zamiaru chować się w szafie, ponieważ wiedziała, że gdyby ją tam znaleziono, znowu zaczęłyby się złośliwe docinki na temat tej przekłętej historii. Chciała jednak jeszcze raz do niej zajrzeć, gdyż sama zaczynała już się zastanawiać, czy rzeczywiście Narnia nie była tylko pięknym snem. Dom był tak wielki i pełen tylu zakamarków, że z pewnością miałyby jeszcze potem czas na znalezienie sobie jakiejś innej, dobrej kryjówki. Gdy zbliżyła się do szafy, usłyszała kroki na korytarzu i nie pozostało jej nic innego, jak wskoczyć do środka i przymknąć za sobą drzwi. Oczywiście nie zamknęła ich całkowicie, ponieważ wiedziała, że to bardzo głupio zamknąć się w szafie — nawet wtedy, gdy jest to szafa zaczarowana.

Kroki, które usłyszała, były krokami Edmunda. Zdążył wejść do pokoju wystarczająco wcześnie, by dostrzec Łucję znikającą w szafie. Od razu postanowił wejść za nią do środka — nie dlatego, by uważał szafę za szczególnie dobrą kryjówkę, ale dlatego, że chciał znowu pokpić sobie z Łucji i z jej wymyślonego kraju. Otworzył drzwi. Wewnątrz wisiały, jak zawsze, futra, pachniało naftaliną, było cicho i ciemno, ale po Łucji nie było ani śladu. „Na pewno myśli, że to przyszła Zuzanna, aby ją złapać — pomyślał Edmund — więc siedzi cicho gdzieś w głębi”. Wskoczył do środka i zamknął za sobą drzwi zapominając, że takie postępowanie może świadczyć tylko o głupocie. Potem zaczął macać rękami w ciemności, szukając siostry, lecz ku swemu zdziwieniu nigdzie nie mógł jej znaleźć. Postanowił więc otworzyć drzwi, aby wpuścić do środka trochę światła. Ale i drzwi gdzieś

się zapodziali. To już zupełnie przestało mu się podobać, zaczął więc przepychać się między płaszciami to w jedną, to w drugą stronę, nawołując:

— Łucjo! Łucjo! Gdzie jesteś? Wiem, że tu jesteś!

Nie było odpowiedzi. Edmund zauważył, że jego głos brzmi jakoś dziwnie — wcale nie tak, jakby tego można było oczekiwać pokrzykując w zamkniętej szafie, ale tak, jakby znajdował się na dworze. Poczuł też, że zrobiło się nieoczekiwanie zimno. I wtedy zobaczył światło.

„Dzięki Bogu — pomyślał — drzwi musiały się same otworzyć”. Zapomniał już zupełnie o Łucji i podążył ku światłu, pewien, że to otwarte drzwi szafy. Ale zamiast wyskoczyć z ciemności wprost do pełnej światła garderoby, stwierdził nagle, że wychodzi z cienia jakiegoś gęstego, jodłowego zagajnika na otwartą przestrzeń w środku lasu.

Pod stopami chrząścił mu suchy, sypki śnieg, który pokrywał też gałęzie drzew. Nad nim jaśniało bladoniebieskie niebo, takie, jakie zdarza się w piękne zimowe poranki. Wprost przed sobą, między pniami drzew, zobaczył wschodzące słońce, czerwone i wyraźne. Naokoło panowała głęboka cisza, jakby był jedyną żywą istotą w tym kraju. Wśród drzew nie dostrzegł choćby drozda czy wiewiórki, a las rozciągał się w każdym kierunku tak daleko, jak tylko mógł sięgnąć wzrokiem. Poczuł, że ciarki przebiegają mu po plecach.

Teraz przypomniał sobie o Łucji, a także — choć poniewczasie — o swoich docinkach na temat jej „wymyślonego kraju”, który — jak się okazało — wcale nie był wymyślony. Wciąż miał jednak nadzieję, że siostra musi być gdzieś blisko, więc zawołał:

— Łucjo! Łucjo! Ja też jestem tutaj! To ja, Edmund!

Nie było żadnej odpowiedzi. „Na pewno jest na mnie zła za to wszystko, co jej ostatnio mówiłem”, pomyślał Edmund. I chociaż nie lubił przyznawać się do błędów, jeszcze mniej podobało mu się to, że jest zupełnie sam w tym dziwnym, zimnym i cichym miejscu.

Krzyknął więc jeszcze raz:

— Hej, hej, Łusiu! Przepraszam, że ci nie uwierzyłem. Teraz widzę, że od początku miałaś rację. Ale wyjdź już, proszę cię! Dajmy temu spokój!

Wciąż nie było żadnej odpowiedzi.

— Jak to dziewczynka! — powiedział do siebie Edmund. — Dąsa się gdzieś i nie przyjmie żadnych przeprosin.

Raz jeszcze rozejrzał się wokoło i doszedł do wniosku, że to miejsce nie bardzo mu się podoba, wobec czego już postanowił wracać do domu, gdy nagle, gdzieś daleko w lesie, odezwał się dźwięk dzwoneczków. Nasłuchiwał, a dzwonki przybliżały się i przybliżały, aż w końcu zza drzew wyskoczyły sanie zaprzężone w dwa reny.

Reny były wielkości szetlandzkich kucyków, a sierść miały tak białą, że w porównaniu z nimi nawet śnieg wydawał się szary. Ich rozgałęzione rogi były pozlacane i kiedy załśniło na nich słońce, zapłonęły żywym ogniem. Uprząż była zrobiona ze szkarłatnej skóry i przyozdobiona dzwoneczkami. Na koźle siedział przysadzisty karzeł, który z pewnością nie miałby nawet metra wysokości, gdyby stanął wyprostowany. Ubrany był w kozuch z polarnego niedźwiedzia, a na głowie miał czerwony kaptur z długim, zwisającym nisko pomponem. Obfita broda spływała mu aż na kolana, pełniąc funkcję czegoś w rodzaju pledu chroniącego przed zimnem. Za nim, na podwyższeniu pośrodku sań, siedziała zupełnie inna postać: wysoka pani, bardziej wysoka niż najwyższa kobieta, jaką Edmund kiedykolwiek widział. Pani również była przykryta białym futrem, w prawej ręce trzymała długą, prostą laseczkę, a na głowie miała złotą koronę. Jej twarz była biała — nie zwyczajnie blada, lecz zupełnie biała, jak śnieg lub papier, lub wata cukrowa, tylko wargi płonęły jaskrawą czerwienią. Była to twarz piękna, lecz dumna, zimna i surowa.

Zbliżające się do Edmunda sanie wyglądały naprawdę cudownie: dzwoneczki dzwoniły, karzeł strzelał z bata, a śnieg wzbijał się w powietrze po obu stronach.

— Zatrzymaj się! — powiedziała pani i karzeł ściągnął lejce tak ostro, że reny prawie przysiadły na śniegu. Potem wyprostowały się i potrząsały gniewnie łbami, parszkając głośno, a w mroźnym powietrzu ich szybkie oddechy zamieniały się w gęstą parę.

— A kimże ty jesteś? — zapytała pani, spoglądając surowo na Edmunda.

— Ja... ja... nazywam się Edmund — wyjąkał chłopiec. Wcale nie podobał mu się sposób, w jaki na niego patrzyła.

Pani zmarszczyła brwi.

— I w ten sposób odzywasz się do swojej królowej? — zapytała, patrząc na niego jeszcze bardziej surowo.

— Proszę o wybaczenie, wasza królewska wysokość, nie wiedziałem...

— Nie znasz królowej Narnii?! — krzyknęła pani.

— Ha! Zaraz poznasz nas lepiej. Ale pytam raz jeszcze: kim jesteś?

— Niech mi wasza królewska wysokość wybaczy

— wyjąkał Edmund — ale nie wiem, co odpowiedzieć. Jestem w szkole... to znaczy byłem... teraz są wakacje...

Rozdział 4 PTASIE MLECZKO

ALE KIM JESTEŚ? — zapytała ponownie królowa. — Czy może jesteś wyrośniętym karłem, który obciął sobie brodę?

— Nie, wasza królewska wysokość — odpowiedział Edmund. — Nigdy nie miałem brody. Jestem chłopcem.

— Chłopcem? Czy chcesz powiedzieć, że jesteś Synem Adama?

Edmund nic nie odpowiedział. Był zbyt zmieszany, aby zrozumieć pytanie.

— Kimkolwiek jesteś, to prócz tego jesteś na pewno idiotą — powiedziała królowa. — I odpowiedz mi wreszcie, chyba że chcesz, abym straciła cierpliwość: czy jesteś człowiekiem?

— Tak, najjaśniejsza pani — powiedział Edmund. „; — A jak się dostałeś do mojego królestwa?

— Dostałem się tu przez szafę, najjaśniejsza pani.

— Przez szafę? Co to znaczy?

— Ja... ja otworzyłem drzwi... i po prostu znalazłem się tutaj, najjaśniejsza pani — wyjąkał Edmund.

— Ha! — wykrzyknęła królowa, bardziej do siebie niż do niego. — Drzwi. Drzwi do Świata Ludzi. Słyszałam już o takich rzeczach. To może popsuć wszystko. Ale na razie on jest sam i łatwo sobie z nim poradzę.

Powstała ze swojego siedzenia i spojrzała Edmundowi prosto w twarz. Jej oczy zapłonęły dziwnym blaskiem, a ręka uniosła różdżkę. Edmund czuł, że za chwilę stanie się coś strasznego, ale nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Ale kiedy już pogodził się ze swoim losem, królowa nagle jakby zmieniła zamiar.

— Moje biedne dziecko — odezwała się do niego zupełnie innym tonem — chyba bardzo zmarześ,

prawda? Chodź tutaj i usiądź ze mną w saniach, a ja otulę cię futrem i trochę sobie porozmawiamy. Trudno powiedzieć, żeby ten pomysł spodobał się Edmundowi, ale nie śmiał być nieposłuszny, więc wspiął się na sanie i usiadł u jej stóp. Pani zarzuciła na niego futro i troskliwie go nim otuliła.

— A teraz może byś się napił czegoś gorącego?

— zapytała.

— Tak, bardzo proszę, wasza królewska wysokość

— odpowiedział Edmund, szcękając zębami. Królowa wyjęła z fałd swego płaszcza małą flaszczykę, wyglądającą jakby była zrobiona z miedzi. Potem wyciągnęła rękę poza sanie i wylała z flaszczyki kroplę jakiegoś płynu. Przez moment kropla zalśniła w słońcu jak diament, ale gdy tylko spadła na śnieg, coś zasyczało — i oto w tym samym miejscu stał wysadzany drogimi kamieniami kubek z czymś, co parowało w zimnym powietrzu. Karzeł błyskawicznie zeskoczył na ziemię, podniósł kubek, skłonił się i podał Edmundowi z uśmiechem. Nie był to wcale przyjemny uśmiech. Ale gdy tylko chłopiec wypił kilka łyków gorącego płynu, poczuł się od razu lepiej. Dziwny napój nie przypominał niczego, co pił kiedykolwiek przedtem: był słodki, pieniaący się i gęsty, a po wypiciu ciepło rozchodziło się momentalnie po całym ciele.

— Nie sądzisz, że dobrze byłoby teraz coś zjeść, Synu Adama? — zapytała królowa. — Na co miałbyś ochotę?

— Na ptasie mleczko, jeśli można, wasza królewska wysokość — odpowiedział Edmund.

Królowa wylała z buteleczki jeszcze jedną kroplę; tym razem na śniegu pojawiło się okrągłe, przewiązane zieloną wstążeczką pudełko, pełne — jak się okazało — najlepszego ptasiego mleczka. Każdy kawałek był słodki i cudownie piankowaty aż do samego środka i Edmund musiał przyznać, że nigdy jeszcze nie jadł czegoś równie wspaniałego. Teraz zrobiło mu się bardzo ciepło i przyjemnie.

Kiedy objadał się ptasim mleczkiem, królowa zadawała mu mnóstwo pytań. Początkowo starał się pamiętać, że nie wypada mówić z pełnymi ustami, ale wkrótce o tym zapomniał, pragnąc jedynie pochłonąć tyle ptasiego mleczka, ile tylko zdoła. Im więcej zjadał, tym bardziej miał na nie ochotę, tak że nie wpadło mu nawet do głowy zastanowić się, dlaczego królowa jest taka ciekawa. Bardzo łatwo wyciągnęła z niego, że ma brata i dwie siostry, że jedna z nich już tutaj była i spotkała faunę oraz że nikt prócz niego i jego rodzeństwa nie ma pojęcia o istnieniu Narnii. Królową interesowało szczególnie to, że jest ich czworo, i wciąż wracała do tego tematu.

— Czy jesteś pewien, że jest was czworo? Dwóch Synów Adama i dwie Córki Ewy, ani więcej, ani mniej?

Edmund, z ustami pełnymi ptasiego mleczka, odpowiadał wciąż:

— Tak, przecież już mówiłem — zapominając nawet o dodaniu „wasza królewska wysokość”, ale królowa wydawała się nie zwracać na to uwagi.

W końcu całe ptasie mleczko zostało zjedzone i Edmund wpatrywał się uporczywie w puste pudełko, modląc się w duchu, by go zapytano, czy nie chciałby więcej. Królowa zapewne dobrze wiedziała, o czym Edmund marzy, ponieważ wiedziała też, że jest to zaczarowane ptasie mleczko i że każdy, kto go choć raz skosztuje, będzie chciał wciąż więcej i więcej, tak że mógłby zajeść się na śmierć, gdyby mu na to pozwolono. Ale nie zaproponowała następnego pudełka, tylko powiedziała:

— Synu Adama, tak bardzo chciałabym zobaczyć twoje czarujące rodzeństwo... Czy mógłbyś je do mnie przyprowadzić?

— Spróbuję — odpowiedział Edmund, wciąż spoglądając z żalem na puste pudełko.

— Bo widzisz, jeżeli przyjdiesz tu jeszcze raz, naturalnie razem z nimi, to będę ci mogła dać więcej ptasiego mleczka. Teraz już nie mogę, bo takie czary można zrobić tylko raz. Co innego w

moim pałacu...

— A dlaczego nie możemy tam pojechać zaraz? — zapytał Edmund. Kiedy wsiadał do sań, trząśnięcie się ze strachu, że ta wyniosła pani powiedzie go do jakiegoś nieznanego miejsca, z którego nie będzie mógł trafić do domu, ale teraz zapomniał o wszystkim.

— Ach, mój pałac to naprawdę cudowne miejsce — powiedziała królowa. — Jestem pewna, że będzie ci się podobało. Są tam pokoje pełne ptasiego mleczka, a musisz wiedzieć, że nie mam swoich własnych dzieci. Bardzo bym chciała mieć jakiegoś miłego chłopca, którego mogłabym uczynić księciem i który zostałby królem Narnii, kiedy mnie już nie będzie. Jako księżę mógłbyś nosić złotą koronę i przez cały dzień zajadać się ptasim mleczkiem. A muszę wyznać, że jesteś najmądrzejszym i najprzystojniejszym młodzieńcem, jakiego dotąd spotkałam. Myślę, że naprawdę mógłbyś zostać księciem pewnego dnia, kiedy przyprowadzisz do mnie swoje rodzeństwo.

— Dlaczego nie teraz? — spytał Edmund. Miał wypieki na twarzy, ślina ciekła mu z ust, a ręce lepiły się od potu. Cokolwiek mogła mówić królowa, nie wyglądał teraz ani mądrze, ani pięknie.

— Och, gdybym cię tam zabrała teraz — powiedziała — nie zobaczyłabym twojego uroczego rodzeństwa. Bardzo pragnę je poznać. Ty będziesz księciem, a później królem, to zrozumiałe. Ale przecież musisz mieć swoich dworzan i baronów. Twego brata uczynię hrabią, a twoje siostry hrabinami.

— Oni nie są specjalnie interesujący — powiedział Edmund. — Zresztą mogę ich przyprowadzić kiedy indziej.

— Och, kiedy już raz znajdziesz się w moim pałacu, mógłbyś o nich zapomnieć. Czeka cię tam tyle różnych przyjemności, że nie będzie ci się chciało po nich iść. Nie, musisz teraz wrócić do swojego kraju. Będę na ciebie czekała i NA NICH, oczywiście. Nie byłoby dobrze, gdybyś tu wrócił sam.

— Ale ja nawet nie wiem, czy trafię tu z powrotem — spróbował jeszcze raz Edmund.

— To nie będzie trudne — odpowiedziała królowa. — Widzisz tę Latarnię? — Wskazała swoją różdżką, a Edmund odwrócił się i zobaczył Latarnię, pod którą Łucja spotkała fauna. — Za nią znajdziesz drogę do Świata Ludzi. A teraz popatrz tam — wskazała w przeciwnym kierunku — i powiedz mi, czy widzisz te dwa wzgórze nad drzewami?

— Chyba widzę — odpowiedział Edmund.

— A więc mój pałac leży właśnie między tymi dwoma wzgórzami. Kiedy tu wrócisz następnym razem, musisz tylko znaleźć Latarnię, poszukać tych dwu wzgórz i iść w ich kierunku przez las, a bardzo szybko trafisz do mojej siedziby. Ale pamiętaj: musisz przyprowadzić swoje rodzeństwo. Byłabym bardzo zła, gdybyś przyszedł sam.

— Będę się bardzo starał — odpowiedział Edmund.

— Aha, jeszcze jedna sprawa. Nie musisz im o mnie od razu mówić. To będzie taki nasz mały sekret, dobrze? Zróbmy im niespodziankę. Zaprowadź ich do tych dwu wzgórz, taki mądry chłopiec jak ty na pewno coś wymyśli, aby się zgodzili. A kiedy dojdziecie do mojego zamku, możesz po prostu powiedzieć: „Chodźcie, zobaczymy, kto tu mieszka”, czy coś w tym rodzaju. Jestem pewna, że tak będzie najlepiej. Jeżeli twoja siostra spotkała jednego z faunów, mogła nasłuchać się o mnie różnych dziwnych rzeczy... złośliwych plotek, które opowiadają, aby się mnie lękano. Fauny nigdy nic mądrego nie mówią, a musisz wiedzieć, że...

— Błagam, och, błagam — przerwał jej nagle Edmund — czy nie mógłbym dostać na drogę choć jednego kawałka ptasiego mleczka?

— Nie, nie — odpowiedziała królowa ze śmiechem — musisz poczekać do następnego razu. — Dała znak karłowi, a kiedy sanie ruszyły, pomachała Edmundowi ręką wołając: — Następnym razem! Następnym razem! Nie zapomnij! Wróć szybko!

Edmund wciąż jeszcze wpatrywał się w drzewa, za którymi zniknęły sanie, gdy nagle usłyszał, jak ktoś wykrzykuje jego imię, a kiedy się rozejrzył, zobaczył Łucję wychodzącą z innej części lasu.

— Och, Edmundzie! — zawołała. — A więc ty też tu trafiłeś? Czy tu nie jest cudownie? A teraz...

— Dobra, dobra — powiedział Edmund. — Przecież widzę, że mówiłaś prawdę i że to rzeczywiście jest zaczarowana szafa. Jeżeli chcesz, to mogę cię przeprosić. Ale, na miłość boską, gdzie się podziewałaś przez cały ten czas? Wszędzie cię szukałem.

— Gdybym tylko wiedziała, że ty też tu trafisz, tobym na ciebie poczekała — powiedziała Łucja, która była tak szczęśliwa i podniecona, że nie zauważyła dziwnej nuty w jego głosie i wypieków na jego zmienionej twarzy. — Zjadłam mały obiadek z panem Tumnusem, tym faunem, który ma się zupełnie dobrze; Biała Czarownica nic mu nie zrobiła za to, że mnie puścił, więc sądzi, że w ogóle się o tym nie dowiedziała, i być może wszystko dobrze się skończy.

— Biała Czarownica? — zapytał Edmund. — Kto to taki?

— To okropna postać. Nazywa siebie królową Narnii, chociaż wcale nie ma do tego prawa, i wszystkie driady i najady, i karły, i zwierzęta, w każdym razie te, które są dobre, po prostu jej nienawidzą. Ona może zmieniać ludzi w kamień i w ogóle potrafi robić różne okropne rzeczy. I to właśnie ona zaczarowała Narnię, tak że zawsze jest tu zima, zawsze zima, a nigdy nie ma Bożego Narodzenia! Jeździ po kraju w saniach zaprzęzonych w reny, ze swoją czarodziejską różdżką i w koronie na głowie.

Edmundowi było już niedobrze od zjedzenia zbyt wielu słodyczy, a kiedy usłyszał, że pani, z którą się zaprzyjaźnił, jest groźną czarownicą, poczuł się jeszcze gorzej. Wciąż jednak miał tak straszną ochotę na ptasie mleczko, że wszystko inne wydawało mu się zupełnie nieważne.

— Kto ci naopowiadał tych bzdur o Białej Czarownicy? — zapytał.

— Pan Tumnus, ten faun — odpowiedziała Łucja.

— Nie powinno się wierzyć we wszystko, co mówią fauny — powiedział Edmund, starając się sprawić wrażenie, jakby wiedział o faunach o wiele więcej.

— A tobie kto to powiedział?

— Każdy to wie — powiedział Edmund. — Zapytaj kogo chcesz. Nie sądzę też, żeby było coś zabawnego w staniu na śniegu. Chodźmy do domu.

— Masz rację! Och, Edmundzie, tak się cieszę, że ty też tu trafiłeś. Piotr i Zuzanna będą teraz musieli uwierzyć w Narnię. Ach, jaka to będzie zabawa!

Edmund nic nie odpowiedział, ale w głębi serca pomyślał, że dla niego to nie będzie wcale tak zabawne. Będzie musiał przyznać przed wszystkimi, że Łucja miała rację, był też pewien, że pozostała trójka stanie po stronie faunów i zwierząt, sam zaś był już bardziej niż w połowie po stronie Czarownicy. Nie wiedział więc, co powie i jak utrzyma wszystko w tajemnicy, kiedy będą w czwórkę rozmawiać o Narnii.

Tym razem trafili z powrotem bez trudności. Nagle, zamiast ośnieżonych gałęzi, poczuli na twarzach dotyk miękkich futer, a w następnym momencie oboje stali przed szafą w garderobie.

— Ejże, Edmundzie — powiedziała Łucja — przecież ty okropnie wyglądasz. Dobrze się czujesz?

— Nic mi nie jest — odpowiedział Edmund, chociaż było to dalekie od prawdy. Czuł się fatalnie.

— A więc chodź, poszukamy innych. Tyle mamy im do opowiedzenia! I pomyśl tylko, jakie nas czekają wspaniałe przygody, kiedy już będziemy w Narnii we czwórkę!

Rozdział 5

Z POWROTEM PO TEJ STRONIE DRZWI

Ponieważ zabawa w chowanego wciąż jeszcze trwała, odnalezienie reszty rodzeństwa zajęło Edmundowi i Łucji wiele czasu. Ale kiedy już w końcu wszyscy byli razem (a zdarzyło się to w owym długim pokoju, w którym znaleźli rycerską szafę), Łucja wybuchnęła:

— Piotrze! Zuzanno! To wszystko jest prawda. Edmund też to widział. Naprawdę JEST taki kraj, do którego można się dostać przez szafę. Byliśmy tam razem, Edmund i ja, i spotkaliśmy się w lesie. No, Edmundzie, powiedz im o wszystkim.

— Co to wszystko znaczy, Edziu? — zapytał Piotr.

I tu dochodzimy do jednego z najbardziej paskudnych momentów w całej tej historii. Aż do tej chwili Edmund czuł się okropnie, był nadąsany i zły na Łucję, ponieważ w końcu okazało się, że to ona miała rację, ale nie bardzo jeszcze wiedział, co z tym wszystkim począć. Kiedy jednak Piotr zapytał go nagle o zdanie, zdecydował się bez wahania na najbardziej podły i złośliwy uczynek, jaki mu przyszedł do głowy. Postanowił Łucję całkowicie pognać.

— No, powiedz nam, Edziu — odezwała się Zuzanna.

I Edmund przybrał pobłażliwą minę, jakby był o wiele starszy od Łucji (w rzeczywistości był między nimi tylko rok różnicy), zachichotał i powiedział:

— Ach tak, po prostu bawiłem się z Łucją udając, że uwierzyłem w całą tę historię. Naturalnie tylko dla zabawy. A naprawdę nic tam nie ma.

Biedna Łucja rzuciła mu tylko jedno spojrzenie i wybiegła z pokoju.

Edmundowi, który z każdą minutą stawał się coraz bardziej podły, wydawało się, że odniósł wielki sukces, i ciągnął dalej w tym samym stylu:

— Znowu coś ją naszło. Co się z nią dzieje? To jest właśnie najgorsze z tymi dziećmi, zawsze...

— Hej, ty! — krzyknął Piotr i spojrzał na niego groźnie. — Zamknij się! Byłeś wyjątkowo okrutny dla Łucji od samego początku, gdy tylko zaczęła opowiadać te bzdury o szafie, a teraz bawisz się jej kosztem i jeszcze ją podpuszczasz. Jestem pewien, że robisz to wszystko tylko po to, aby jej dokuczyć.

— Ale przecież to są bzdury — powiedział Edmund, całkowicie zaskoczony.

— Jasne, że bzdury — powiedział Piotr. — Właśnie o to chodzi. Kiedy odjeżdżaliśmy z domu, Łucja była zupełnie normalna, ale odkąd tu jesteśmy, sprawia wrażenie, jakby zaczynała dostawać bzika albo zamieniła się w odrażającą kłamczuchę. Ale czy sądzisz, że jej pomożesz, jeśli jednego dnia dokuczysz jej i wyśmiewasz się z tego, co opowiada, a następnego udajesz, że w to wierzysz?

— Ja myślałem... myślałem... — wyjąkał Edmund i urwał, bo nie wiedział, co powiedzieć.

— Wcale nie myślałeś — powiedział Piotr. — To wszystko ze złości. Zawsze lubiłeś być okrutny wobec mniejszych od siebie. Widzieliśmy to już w szkole.

— Przestańcie, błagam was — wtrąciła się Zuzanna. — Nie poprawicie sytuacji, jeśli i wy dwaj będziecie się kłócić. Chodźmy i poszukajmy Łucji.

Chyba nie będzie dla was niespodzianką, że kiedy w końcu znaleźli Łucję, nikt nie miał wątpliwości, że płakała. Próbowali załagodzić sprawę różnymi sposobami, ale na nic się to zdało. Uparcie obstawała przy swojej historii i powtarzała:

— Wcale mnie nie obchodzi, co sobie myślicie, i nie obchodzi mnie, co mówicie. Możecie powiedzieć Profesorowi albo napisać do mamy, albo zrobić, co się wam będzie podobało. Spotkałam fauna i... żałuję, że tam nie zostałam... a wy wszyscy jesteście potwory, potwory!

Ten wieczór nie należał do najprzyjemniejszych. Łucja była w okropnym nastroju, a Edmund zaczynał sobie zdawać sprawę z tego, że jego plan nie udaje się tak dobrze, jak myślał. Piotr i Zuzanna zaczęli zupełnie poważnie obawiać się, że Łucja ma źle w głowie. I kiedy młodsze dzieci położyły się już do łóżek, długo jeszcze stali na korytarzu, szepcząc coś do siebie.

Rezultat tej nocnej narady był taki, że następnego dnia postanowili iść do Profesora i wszystko mu opowiedzieć.

— Oczywiście trzeba się liczyć z tym, że napisze do ojca, jeśli uzna, że z Łucją rzeczywiście dzieje się coś niedobrego, ale na to już nic nie poradzimy — powiedział Piotr, kiedy szli do gabinetu Profesora. Zapukali do drzwi, a kiedy Profesor zawołał: „Proszę!”, weszli do środka. Starszy pan znalazł dla nich jakieś krzesła i oświadczył, że jest całkowicie do ich dyspozycji. Potem usiadł w fotelu, złożył dłonie tak, że stykały się końcami palców, i słuchał z uwagą. Kiedy skończyli, milczał przez jakiś czas, potem odchrząknął i powiedział coś, czego żadne z nich się nie spodziewało:

— A skąd wiecie, że opowieść waszej siostry nie jest prawdą?

— No, bo przecież... — zaczęła Zuzanna i urwała. Wyraz twarzy Profesora wcale nie wskazywał na to, że sobie z nich żartuje. — Przecież sam Edmund powiedział, że tak się tylko bawili.

— To jest właśnie punkt — powiedział Profesor — który z pewnością zasługuje na naszą uwagę, na bardzo wnikliwą uwagę. Na przykład, jeśli mi wolno zapytać, czy wasze dotychczasowe doświadczenie pozwala wam stwierdzić, że jedno z nich — albo brat, albo siostra — bardziej zasługuje na zaufanie? Chodzi mi o to, które z nich jest według was bardziej prawdopodobne?

— To dość śmieszna sprawa, panie Profesorze — powiedział Piotr. — Aż dotąd zawsze bym odpowiedział, że Łucja.

— A co ty o tym sądzisz, moja droga? — zapytał Profesor Zuzannę.

— No więc, tak ogólnie, jestem tego samego zdania co Piotr, ale przecież to nie może być prawda... to wszystko o tym lesie i o faunie.

— Tego jeszcze nie wiemy — powiedział Profesor — a zarzut kłamstwa wobec kogoś, kogo zawsze uważaliście za osobę prawdziwą, to bardzo poważna sprawa, naprawdę bardzo poważna sprawa.

— Obawiamy się, że to wcale nie musi być kłamstwo — powiedziała Zuzanna. — Może z Łucją dzieje się coś niedobrego?

— Macie na myśli obłąd? — zapytał Profesor spokojnie. — Och, o to możecie być spokojni. Wystarczy na nią popatrzeć, wystarczy z nią porozmawiać, żeby stwierdzić, że na pewno nie zwariowała.

— Ale wobec tego... — zaczęła Zuzanna i urwała. Nawet się jej nie śniło, że dorosły może mówić w ten sposób i zupełnie nie wiedziała, co o tym myśleć.

— Logika! — powiedział Profesor, jakby do siebie. — Dlaczego nie uczą was logiki w tych szkołach? Są tylko trzy możliwości. Albo wasza siostra kłamie, albo zwariowała, albo mówi prawdę. Wiecie, że nie zwykła kłamać, i jest oczywiste, że nie zwariowała. A więc przynajmniej czasowo, zanim nie uzyskamy jakichś nowych danych, musimy założyć, że mówi prawdę.

Zuzanna popatrzyła na niego uważnie, ale wyraz jego twarzy nie wskazywał na to, że żartuje.

— Ale jak coś takiego może być prawdą? — spytał Piotr.

— Dlaczego o to pytasz?

— Z jednego powodu — odpowiedział Piotr. — Jeżeli to prawda, to dlaczego każdy, kto wejdzie do szafy, nie znajduje tego kraju? Chodzi mi o to, że tam naprawdę nic nie było, kiedy zajrzeliśmy do środka; nawet Łucja nie twierdziła wówczas, że jest inaczej.

— A co to ma do rzeczy? — zapytał znowu Profesor.

— Ależ, panie Profesorze, jeżeli coś jest prawdziwe, to musi być prawdziwe zawsze!

— Musi? — raz jeszcze zapytał Profesor i Piotr nie wiedział, co na to powiedzieć.

— A poza tym brakuje czasu na to wszystko — dodała Zuzanna. — Nawet gdyby takie miejsce istniało, to Łucja nie miałaby czasu, aby być wszędzie, gdzie opowiadała. Przecież wybiegła z tego

pokoju zaraz za nami. Nie minęła nawet minuta, a ona upierała się, że nie było jej całe godziny.

— To właśnie sprawia, że jej opowieść wygląda na prawdziwą — powiedział Profesor. — Jeżeli rzeczywiście są w tym domu Drzwi, które prowadzą do jakiegoś Innego Świata (a powinienem was ostrzec, że to bardzo dziwny dom i nawet ja dobrze go nie znam) — jeśli więc, mówię, Łucja dostała się do Innego Świata, to wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że ten Inny Świat ma swój własny, odrębny czas; tak więc, niezależnie od tego, jak długo w nim się przebywa, NASZ czas nie ma z tym nic wspólnego. Z drugiej strony nie sądzę, by dziewczynka w jej wieku mogła coś takiego sama wymyślić. Sądzę, że gdyby naprawdę chciała was nabrać, to by się gdzieś schowała i siedziała tam tak długo, żeby to pasowało do jej opowieści.

— Ale czy pan naprawdę uważa — powiedział Piotr — że mogą być jakieś inne światy, w tym miejscu, tuż koło nas, tak jak ten?

— Nie ma nic bardziej prawdopodobnego — odpowiedział Profesor, zdejmując okulary. Zabrał się do ich czyszczenia, mrucząc do siebie: — Jestem ciekaw, czego oni ich uczą w tych szkołach.

— Ale wobec tego, co mamy robić? — zapytała Zuzanna. Miała wrażenie, że cała ta rozmowa zaczyna tracić sens.

— Moja panno — powiedział Profesor i spojrzał na nich ostro. — Jest pewien pomysł, którego nikt jeszcze nie podsunął, a który wart jest wypróbowania.

— Co to takiego?

— Możemy wszyscy spróbować zająć się własnymi sprawami.

Był to koniec rozmowy.

W ciągu następnych dni atmosfera trochę się polepszyła. Piotr zadbał o to, aby Edmund przestał dokuczać Łucji, a ani ona, ani nikt z reszty rodzeństwa nie miał najmniejszej ochoty wracać do sprawy starej szafy. Stała się po prostu tematem zakazanym. Tak więc przez jakiś czas mogło się wydawać, że ich nadzwyczajne przygody dobiegły końca. Wkrótce jednak miało się okazać, że jest inaczej.

Dom Profesora — o którym nawet on sam tak mało wiedział — był tak stary i tak słynny, że z całej Anglii przyjeżdżali tu różni ludzie, aby poprosić o zgodę na jego zwiedzenie. Był to jeden z tych starych domów, które wymieniane są w przewodnikach, a nawet w książkach historycznych; nie było w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę to, co o nim opowiadano. Niektóre z tych historii były jeszcze bardziej niesamowite niż ta, którą wam właśnie opowiadam. A kiedy przybywały grupy turystów i prosiły o pozwolenie zwiedzenia domu, Profesor zawsze się zgadzał, a pani Macready, jego gospodyni, oprowadzała ich po domu, opowiadając o obrazach, o zbroi, o rzadkich okazach książek w bibliotece. Pani Macready nie bardzo lubiła dzieci, a już szczególnie nie znosiła, by jej przeszkadzano, kiedy opowiadała zwiedzającym wszystko, co wiedziała o starym domu. Już pierwszego ranka po przyjeździe dzieci (po udzieleniu wielu innych instrukcji) zapowiedziała im: „I proszę bardzo, abyście pamiętali, że gdy oprowadzam jakąś grupę po domu, to was tam nie ma, zrozumiano?”

— Tak jakby ktoś z nas chciał marnować połowę przedpołudnia na szwendanie się po domu z tłumem obcych wapniaków! — powiedział później Piotr, a pozostała trójka była tego samego zdania. I właśnie z tego powodu ich przygody zaczęły się po raz drugi.

Kilka dni po rozmowie z Profesorem Piotr i Edmund przyglądali się stojącej w pokoju z obrazami zbroi, zastanawiając się, jak by tu ją rozebrać na kawałki, kiedy nagle wpadły siostry krzycząc:

— Uwaga! Nadchodzi Macready i cała banda razem z nią!

— Szybko! — zawołał Piotr i cała czwórka czmychnęła przez drzwi w drugim końcu pokoju. Ale kiedy przelecieli przez zielony pokój i zatrzymali się w bibliotece, usłyszeli nagle głosy przed sobą i zdali sobie sprawę z tego, że pani Macready musiała poprowadzić grupę zwiedzających tylnymi

schodami, a nie frontowymi, jak tego oczekiwali. A potem — nie bardzo już wiadomo dlaczego: czy potracili głowy, czy też pani Macready uwzięła się, aby ich przyłapać, czy może zaczęły działać jakieś czary, aby zwabić ich do Narnii — dość, że biegali tam i z powrotem, wciąż słysząc zbliżające się głosy, aż w końcu Zuzanna krzyknęła:

— Och, niech dunder świśnie tych wycieczkowiczów! Tutaj! Schowajmy się w garderobie, dopóki nie przejdą. Nikt tam za nami nie wejdzie. — Ale gdy tylko wpadli do pustego pokoju z szafą, usłyszeli głosy na korytarzu, potem chrobotanie przy drzwiach, a wreszcie zobaczyli, że klamka zaczyna się poruszać.

— Szybko! — wyrzucił z siebie Piotr. — Tylko to nam pozostało! — I otworzył szafę. Wszyscy czworo dali nurka między futra i usiedli na podłodze, ciężko dysząc. Piotr przyciągnął za sobą drzwi, nie zamykając ich jednak całkowicie, bo oczywiście pamiętał o tym — o czym pamięta każdy rozsądny człowiek — że nie powinno się nigdy zatrząskiwac za sobą drzwi, gdy się wchodzi do szafy.

Rozdział 6 W PUSZCZY

OJEJ, NIECH TA MACREADY SIĘ POSPIESZY i zabierze stąd tych wszystkich ludzi, bo się uduszę — wyszeptała Zuzanna.

— I co za zapach naftaliny — dodał Edmund.

— Na pewno wszystkie kieszenie tych płaszczy są jej pełne — powiedziała Zuzanna — To przed molami.

— Coś mnie uwiera w plecy — odezwał się Piotr.

— A czy to nie jest przypadkiem zimne? — zapytała Zuzanna.

— Rzeczywiście, jest zimne i... o, psiakostka, mokre! Oj, to jest coraz bardziej mokre! — I zerwał się na równe nogi.

— Chodźcie, wyłazimy stąd — powiedział Edmund. — Już poszli.

— Oooch! — krzyknęła nagle Zuzanna. Wszyscy zapytali co się stało.

— Siedzę przed jakimś drzewem! — odpowiedziała Zuzanna. — I, popatrzcie tylko, tam jest jakieś światło... o tam!

— O holender, masz rację! — zawołał Piotr. — I popatrzcie tu, i tu! Wszędzie są drzewa. A to mokre świństwo to śnieg. Ależ my przecież jesteśmy w lesie Łucji!

I nie mylił się. Cała czwórka stała teraz, mrugając oczami, w pełnym świetle jasnego, zimowego dnia. Za nimi były płaszcze na wieszakach — przed nimi pokryte śniegiem drzewa.

Piotr zwrócił się od razu do Łucji.

— Wybacz mi, że ci nie uwierzyłem. Naprawdę, bardzo mi głupio. Podamy sobie ręce?

— Oczywiście! — odpowiedziała Łucja.

— A co teraz zrobimy? — zapytała Zuzanna.

— Co zrobimy? — powiedział Piotr. — Ależ naturalnie pójdziemy i zbadamy ten las.

— Robi mi się zimno — stwierdziła Zuzanna, przytupując na śniegu. — Co byście powiedzieli na to, żeby włożyć po jednym z tych futer?

— Nie są nasze — powiedział z wahaniem w głosie Piotr.

— Jestem pewna, że nikomu to nie zaszkodzi, przecież nie chcemy ich wynieść z domu. Pomyśl, my ich właściwie nawet nie wyniesiemy z szafy.

— Wiesz, Zuziu, sam nigdy bym na to nie wpadł — powiedział Piotr. — To wcale nie jest takie głupie. Nikt nie może powiedzieć, że się ukradło płaszcz, jeżeli on wciąż pozostaje w tej samej szafie, w której go znaleziono. A zakładam, że cały ten kraj należy do szafy.

Szybko zgodzili się na bardzo rozsądny pomysł Zuzanny. Futra były na nich za długie, sięgały aż do *i* stóp, tak że kiedy je powkładali na siebie, przypominały bardziej królewskie szaty niż zwykłe płaszcze.

Od razu zrobiło im się cieplej, a każdy był przekonany, że pozostali wyglądają w nowym stroju o wiele lepiej i bardziej pasują do otoczenia.

— Możemy udawać, że jesteśmy odkrywcami polarnymi — powiedziała Łucja.

— To wszystko jest tak niesamowite, że chyba nie ma potrzeby niczego udawać — zauważył Piotr, prowadząc ich przez las. Na niebie wisiały ciężkie chmury i zanosilo się na to, że śnieg będzie padać jeszcze przed nadejściem nocy.

— Słuchajcie — odezwał się nagle Edmund — czy nie powinniśmy kierować się bardziej na lewo, oczywiście jeśli chcemy dojść do Latarni? — Przez moment zapomniał, że miał przecież nie przyznawać się do tego, że był już kiedyś w tym lesie. Jak tylko wypowiedział te słowa, zrozumiał, że się zdradził. Wszyscy stanęli i patrzyli na niego w milczeniu. Piotr zagwizdał.

— A więc rzeczywiście tu byłeś, kiedy Łucja mówiła, że cię tu spotkała. A ty upierałeś się, że ona kłamie.

Zapadła cisza.

— Ach, te małe jadowite potworki — mruknął pogardliwie Piotr i wzruszył ramionami. Prawdę mówiąc, nie było już nic więcej do powiedzenia i cała czwórka ruszyła w dalszą drogę, ale Edmund powtarzał sobie w duchu: „Zapłacicie mi za to wszyscy. Banda zarozumiałych, zadowolonych z siebie pyszałków!”

— Ale dokąd właściwie idziemy? — zapytała Zuzanna, przede wszystkim po to, aby zmienić temat.

— Myślę, że Łucja powinna prowadzić — odparł Piotr — choć Bóg jeden wie, czy do tego dorosła. Dokąd byś nas zaprowadziła, Łucjo?

— A co myślicie o odwiedzeniu pana Tumnusa? — zapytała Łucja. — To ten miły faun, o którym wam mówiłam.

Wszyscy się na to zgodzili i ruszyli teraz żwawiej w drogę, chrzęszcząc butami po śniegu. Łucja okazała się dobrym przewodnikiem. W pierwszej chwili nie była wcale pewna, czy znajdzie drogę, ale wkrótce rozpoznała jakieś dziwnie wyglądające drzewo, a potem jakiś pniak, który poprzednio utkwiał jej w pamięci. Dość szybko znaleźli się w górzystej okolicy, potem zeszli do małego wąwozu, aż w końcu trafili na wejście do pieczary pana Tumnusa. Ale tutaj oczekiwała ich przykra niespodzianka.

Drzwi zostały wyłamane z zawiasów i porozbijane na kawałki. Wewnątrz pieczary było ciemno, wilgotno i zimno — czuło się przygnębiającą atmosferę nie zamieszkanego od wielu dni miejsca. Do środka nawiało sporo śniegu, który leżał na podłodze, zmieszany z czymś czarnym, co okazało się zawartością dawno wygasłego kominka. Ktoś najwyraźniej porzrzucał popiół i zwęglone szczapy po całym pokoju, a następnie miażdżył je butami. Wszędzie wały się potłuczone naczynia, a portret taty fauna pocięto nożami.

— Kompletna kłapa — powiedział Edmund. — W ogóle nie warto było tu przychodzić.

— A co to takiego? — Piotr zwrócił uwagę na kawałek papieru przygwożdżony do dywanu.

— Czy tam jest coś napisane? — zapytała Łucja.

— Tak mi się wydaje — odpowiedział Piotr — ale w tych ciemnościach nie mogę niczego odczytać. Wyjdźmy z tym na dwór.

Wyszli na światło dzienne i otoczyli Piotra, który odczytał następujące słowa:

Poprzedni właściciel tej nieruchomości, faun Tumnus, został aresztowany i oczekuje sądu pod zarzutem Spisku Najwyższego Stopnia przeciw władzy Jej Cesarskiej Wysokości Jadis, Królowej Narnii, Kasztelanki na Ker-Paravelu, Cesarzowej Samotnych Wysp etc., a także pod zarzutem sprzyjania wrogom Jej Królewskiej Wysokości, udzielania schronienia szpiegom i przyjaźnienia się z Ludźmi.

*Podpisano: Maugnm,
Kapitan Tajnej Policji.
Niech żyje Królowa!*

Dzieci popatrzyły po sobie.

— Wcale nie jestem pewna, czy mi się tu naprawdę podoba — powiedziała Zuzanna.

— Kim jest ta królowa, Łucjo? — zapytał Piotr.

— Czy coś o niej wiesz?

— Ona wcale nie jest prawdziwą królową. To straszna wiedźma, Biała Czarownica. Nienawidzą jej wszyscy, wszyscy mieszkańcy lasu. To ona z czarowała cały ten kraj, tak że zawsze jest zima, a przy tym nigdy nie ma Bożego Narodzenia.

— Ja... zastanawiam się, czy w ogóle jest sens iść dalej — powiedziała Zuzanna. — Chodzi mi o to, że tutaj jakoś nie jest specjalnie bezpiecznie, i myślę, że nie będziemy się dobrze bawić. A poza tym z każdą chwilą robi się coraz zimniej i nie zabraliśmy nic do jedzenia. Co wy na to, żeby wrócić do domu?

— Ale przecież nie możemy tego zrobić, naprawdę, nie możemy! — wykrzyknęła Łucja. — Czy to nie jest dla was jasne? Po tym wszystkim nie możemy sobie tak po prostu iść do domu. Przecież to przeze mnie ten biedny faun wpadł w takie tarapaty. Mówiłam wam, że ukrył mnie przed Czarownicą i pokazał mi powrotną drogę. To właśnie oznacza „sprzyjanie wrogom Królowej i przyjaźnienie się z Ludźmi”. Musimy spróbować go uwolnić.

— Dużo możemy zrobić — wtrącił się Edmund

— kiedy nawet nie mamy nic do jedzenia.

— Cicho bądź! — powiedział Piotr, który wciąż był na niego zły. — A co ty o tym myślisz, Zuzanno?

— Mam okropne uczucie, że Łucja ma rację. Nie mam najmniejszej ochoty iść ani kroku dalej i żałuję, że w ogóle tu przyszłam. Ale sądzę, że musimy coś zrobić dla pana Jak-mu-tam-na-imię, to znaczy tego fauna.

— I ja tak myślę — powiedział Piotr. — Niepokoi mnie tylko brak jedzenia. Głosowałbym za powrotem i zabranie czegoś ze spiżarni, gdyby tylko była pewność, że uda nam się dostać do tego kraju po raz drugi. Ale takiej pewności nie mamy. Uważam, że musimy iść dalej.

— Ja też — powiedziały jednocześnie obie dziewczynki.

— Dobrze by było, żebyśmy chociaż wiedzieli, gdzie tego biedaka uwięziono — dodał Piotr.

Milczeli przez chwilę zastanawiając się, co robić, kiedy nagle Łucja zawołała:

— Spójrzcie! Tam jest drozd, z takim czerwonym brzuszkiem! To pierwszy ptak, jakiego tu widzę. Patrzcie! A może ptaki w Narnii potrafią mówić? On wygląda tak, jakby chciał nam coś powiedzieć. — I zwróciła się wprost do drozda: — Przepraszam bardzo, czy nie mógłbyś nam

powiedzieć, dokąd zabrano fauna Tumnusa?

Kiedy to powiedziała, zrobiła kilka kroków w kierunku ptaka, a drozd natychmiast odfrunął na następne drzewo i zaćwierkał, wpatrując się w nich tak, jakby zrozumiał wszystko, co mówili. Prawie bezwiednie cała czwórka postąpiła krok lub dwa w jego stronę. Drozd znowu przeleciał na następne drzewo i znowu patrzył na nich, jakby chciał im coś powiedzieć. (Trudno byłoby spotkać drozda o bardziej czerwonym brzuszku i o bardziej bystrym spojrzeniu.)

— Wiecie co — powiedziała Łucja — jestem pewna, że on naprawdę chce nas gdzieś zaprowadzić.

— Ja też tak myślę — zgodziła się Zuzanna. — Co o tym sądzisz, Piotrze?

— No cóż, w każdym razie możemy spróbować — odpowiedział Piotr.

Drozd wydawał się wszystko doskonale rozumieć. Przelatywał z drzewa na drzewo, zawsze kilkanaście metrów przed nimi, ale na tyle blisko, aby nie stracili go z oczu. Kiedy odfrunął, z gałązek opadała lawina śniegu. W ten sposób prowadził ich po nieznacznie opadającym zboczu. Po jakimś czasie czarne chmury na niebie rozstały się i wyrzało blade, zimowe słońce, a śnieg wokół nich rozjarzył się kłującą w oczy bielą. Wędrowali tak około godziny. Dziewczynki szły na przędzie. W pewnej chwili Edmund odezwał się półgłosem do Piotra:

— Jeżeli nie jesteś zbyt dumny i wielki na to, aby ze mną rozmawiać, to miałbym ci coś do powiedzenia. Dobrze by było, żebyś to wiedział.

— Co masz na myśli?

— Ciiicho! Nie tak głośno. Po co straszyć dziewczyny? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co robimy?

— A co? — spytał Piotr, zniżając głos do szeptu.

— Idziemy za przewodnikiem, o którym nic nie wiemy. Skąd możemy wiedzieć, po czyjej stronie jest

i ten ptak? A może prowadzi nas w pułapkę?

— To wredny pomysł. To przecież drozd... We wszystkich opowieściach, jakie czytałem, drozdy są zawsze dobrymi ptakami. Jestem pewien, że drozd nie mógłby być po złej stronie.

— Jeżeli już o to chodzi, to która strona jest naprawdę dobra? Skąd możemy wiedzieć, że fauny są w porządku, a królowa, tak, tak, SŁYSZAŁEM, że to czarownica, jest zła? Przecież nic nie wiemy ani o niej, ani o faunach.

— Faun uratował Łucję.

— On tak tylko POWIEDZIAŁ. Skąd wiesz, że tak było naprawdę? A poza tym jest jeszcze jedna sprawa. Czy ktoś z was ma najmniejsze pojęcie o tym, jak wrócić do domu?

— O holender! Nie pomyślałem o tym.

— I w dodatku nie ma żadnych widoków na obiad — dodał Edmund.

Rozdział 6 DZIEŃ U BOBRÓW

PODCZAS GDY DWAJ CHŁOPCY szeptali między sobą w tyle, dziewczynki krzyknęły nagle: „Och!” i raptownie się zatrzymały.

— Drozd! — zawołała Łucja. — Drozd gdzieś odleciał!

I miała rację. Nigdzie go nie było.

— I co teraz zrobimy? — zapytał Edmund, patrząc na Piotra tak, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”

— Ciiicho! Spójrzcie! — powiedziała Zuzanna.

— Co? — spytał Piotr.

— Tam coś jest wśród drzew, o, tam, na lewo. Wszyscy wytrzeszczyli oczy, a nikt nie czuł się zbyt przyjemnie.

— O, znowu się rusza — powiedziała Zuzanna. — Wciąż tam jest. Schowało się za tym wielkim drzewem.

— Co to może być? — zapytała Łucja, starając się, aby jej głos nie brzmiał zbyt nerwowo.

— Nie wiem, co to jest, ale wiem, że wyraźnie się przed nami chowa — zauważył Piotr. — To coś takiego, co nie chce być zauważone.

— Wracajmy do domu — powiedziała Zuzanna. I wtedy, chociaż nikt nic nie powiedział, wszyscy zdali sobie sprawę z tego, o czym Edmund szeptał Piotrowi na końcu poprzedniego rozdziału. Zabłądzili.

— Jakie to jest? — spytała znowu Łucja.

— To jest chyba jakiś rodzaj zwierzęcia — powiedziała Zuzanna.

— O, patrzcie! Patrzcie! Szybko! O, tam jest!

Teraz wszyscy zobaczyli porośniętą futrem twarz z długimi wąsami, która obserwowała ich zza drzewa. Ale tym razem dziwne stworzenie nie uciekło na ich widok. Przeciwnie, przyłożyło łapę do pyska, tak jak ludzie przykładają palec do ust, kiedy dają znać, żeby być cicho. Potem znowu znikło. Dzieci stały, wstrzymując oddechy.

Chwilę później dziwny stwór wychynął zza drzewa, rozejrzał się dookoła, jakby w obawie, że ktoś może ich zobaczyć, i powiedział: „Ciiicho!”, czyniąc wyraźne znaki, by poszli za nim, w gęstszy las. Potem zniknął ponownie.

— Wiem, co to jest — powiedział Piotr. — To bóbr. Widziałem jego ogon.

— On chce, żebyśmy za nim poszli — wtrąciła Zuzanna — i ostrzega nas, żebyśmy byli cicho.

— To jasne — powiedział Piotr. — Problem tylko, czy iść za nim, czy nie. Co o tym myślisz, Łucjo?

— Wygląda na bardzo miłego bobra.

— Tak, tylko skąd o tym WIESZ? — zapytał Edmund.

— Czy nie możemy zaryzykować? — odezwała się Zuzanna. — Nie sądzę, aby stanie w tym śniegu dało nam coś więcej, a poza tym czuję, że na pewno zjadłabym obiad.

W tej chwili bóbr znowu wytknął głowę zza drzewa i wyraźnie pokiwał na nich pazurem.

— Chodźmy — powiedział Piotr — sprawdzimy to. Trzymajmy się blisko siebie. Powinniśmy być godnymi przeciwnikami dla jednego bobra, jeśli okaże się wrogiem.

Tak więc dzieci zbiły się w ciasną gromadkę i poszły w kierunku drzewa, a za nim, jak można się było spodziewać, znalazły bobra. Na ich widok znowu zaczął się cofać, a widząc, że się wahają, odezwał się chrapliwym, gardłowym głosem:

— Trochę dalej. Chodźcie trochę dalej. O, tam, gdzie pokazuję. Na otwartej przestrzeni nie jesteście bezpieczni.

Wreszcie zaprowadził ich do ciemnego miejsca, gdzie cztery drzewa rosły tak blisko siebie, że ich gałęzie połączyły się, tworząc szczelny dach. Pod nogami widać było zamiast śniegu brunatną ziemię i jodłowe igły. Dopiero tutaj zatrzymał się i zaczął mówić.

— To wy jesteście Synami Adama i Córkami Ewy?

— Zgadza się, jesteśmy przedstawicielami tego gatunku — odpowiedział Piotr.

— Nie tak głośno, proszę. Nie jesteśmy tu bezpieczni.

— Dlaczego? Kogo się obawiasz? — zapytał Piotr. — Oprócz nas nie ma tu nikogo.

— Są tu drzewa — powiedział bóbr. — One zawsze nasłuchują. Większość z nich jest po naszej stronie, ale są i takie, które mogłyby donieść JEJ, wiecie, o kim mówię.

— Jeżeli już mówimy o stronach — powiedział Edmund — to skąd możemy mieć pewność, że jesteś naszym przyjacielem?

— Nie chcemy, oczywiście, pana obrazić — wtrącił szybko Piotr — ale sam pan rozumie, jesteśmy tu obcy.

— W porządku, w porządku — powiedział bóbr. — Oto mój znak rozpoznawczy. — Po tych słowach podał im jakiś mały przedmiot. Wszyscy popatrzyli ze zdziwieniem, a Łucja oznajmiła:

— Ależ oczywiście! To moja chusteczka, którą dałam biednemu panu Tumnusowi.

— Zgadza się — rzekł bóbr. — Biedaczysko, wyczuł, że przyjdą go aresztować, i *zdążył* mi ją przekazać. Powiedział mi, że gdyby mu się coś stało, muszę was odnaleźć i zabrać do... — tu głos mu zamarł, a on sam wykonał kilka tajemniczych gestów. Potem dał znać dzieciom, aby przysunęły się do niego jeszcze bliżej, tak że jego długie wąsy łaskotały je w policzki, i dodał stłumionym szeptem:

— Mówią, że Aslan jest w drodze... a może już wylądował.

I wówczas zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Żadne z dzieci nie wiedziało o Aslanie więcej niż wy, ale gdy tylko bóbr wypowiedział te słowa, każde z nich poczuło się zupełnie inaczej. Być może zdarzyło się wam kiedyś we śnie, że ktoś powiedział coś, czego nie rozumieliście, ale co zdawało się mieć jakieś niezwykle znaczenie: albo przerażające — i wtedy cały sen zamieniał się w koszmar, albo tak cudowne, że trudno wyrazić je słowami — i wtedy sen stawał się czymś tak wspaniałym, że zapamiętaliście go na całe życie i zawsze odtąd pragniecie, aby przyśnił się wam raz jeszcze. Coś podobnego poczuły dzieci po wypowiedzeniu przez bobra tego dziwnego zdania. Na dźwięk imienia „Aslan” każdemu z dzieci coś drgnęło w sercu. Edmund odczuł falę tajemniczego lęku. Piotr stał się nagle wyjątkowo dzielny i żądny przygód. Zuzanna poczuła się tak, jakby ją ogarnął jakiś cudowny zapach albo jakaś zachwycająca, słodka melodia. A uczucie, które przeniknęło Łucję, przypominało nastrój, w jakim ktoś budzi się rano i zdaje sobie sprawę, że jest pierwszy dzień wakacji albo początek lata.

— A co z panem Tumnusem? — przerwała ciszę Łucja. — Gdzie on może teraz być?

— Sza! — syknął bóbr. — Nie tutaj. Muszę was zaprowadzić tam, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać, no i zjeść obiad.

Nikt — prócz Edmunda — nie miał już żadnych wątpliwości, że można bobrowi zaufać, i wszyscy — tym razem również i Edmund — ucieszyli się na dźwięk słowa „obiad”. Pospieszyli więc za swoim nowym przyjacielem, który podążał naprzód nadszpodziewanie szybko i prowadził ich przez najbardziej zarośnięte miejsca. Trwało to około godziny. Każdy był już porządnie zmęczony i głodny, kiedy wreszcie drzewa przed nimi stały się rzadsze, a teren zaczął się stopniowo obniżać. Chwilę później wyszli na otwartą przestrzeń. Słońce wciąż świeciło, a przed nimi roztaczał się wspaniały widok.

Stali na zboczu spadzistej, wąskiej doliny, na której dnie płynęła — a w każdym razie płynęłyby, gdyby nie była skuta lodem — dość szeroka rzeka. Tuż pod nimi na rzece zbudowano tamę i kiedy ją zobaczyli, przypomnieli sobie od razu, że przecież bobry zawsze budują tamy. Nie mieli wątpliwości, że patrzą na tamę, którą zbudował właśnie pan Bóbr. Zauważyli zresztą, że na jego twarzy pojawił się wyraz dumy — coś takiego, co łatwo można dostrzec na twarzy osoby, która pokazuje nam swój ogród albo czyta nam napisane przez siebie opowiadanie. Zuzanna potrafiła się

znaleźć i powiedziała:

— Cóż za wspaniała tama!

A pan Bóbr nie syknął tym razem „Sza!”, ale rzucił lekceważąco:

— Ależ to przecież nic nadzwyczajnego! Nic nadzwyczajnego! Jeszcze nie skończona...

Powyżej tamy znajdowało się coś, co zapewne było kiedyś głębokim stawem, ale teraz jedynie płaską powierzchnią ciemnozielonego lodu. Poniżej też był lód, ale nie płaski i równy jak stół, lecz pofałdowany i pożłobiony, jakby nagle chwycił ostry mróz i utrwalił kształty spienionych fal w ich naturalnym biegu w dół rzeki. A tam, gdzie niegdyś woda spływała w kaskadach z tamy, lśniła teraz ściana lodowych sopli, jakby tę stronę budowli pokrywały kwiaty, wieńce i girlandy z najczystszeo cukru. Pośrodku tamy, częściowo w nią wbudowany, wyrastał śmieszny domek przypominający wielki ul. Z dziury w jego szczycie ulatywał wesoły dymek i już sam ten widok (zwłaszcza gdy się było głodnym) przywodził na myśl gotowanie, pieczenie i smażenie, co sprawiało, że czuło się jeszcze większy głód niż przedtem.

Trudno się dziwić, że dzieci wpatrywały się w domek na tamie jak urzeczone, ale Edmund dostrzegł coś jeszcze, na co pozostałe nie zwróciły w ogóle uwagi. Nieco niżej widać było ujście drugiej, mniejszej rzeczki, biegnącej przez niezbyt stromą dolinę. Patrząc w górę tej dolinki, zobaczył dwa małe wzniesienia. Nie ulegało wątpliwości, że są to owe dwa wzgórza, które pokazała mu Biała Czarownica, gdy tamtego dnia rozstawali się w pobliżu Latarni. „A więc gdzieś pomiędzy nimi — pomyślał Edmund — musi być jej pałac, zaledwie milę stąd, a może jeszcze bliżej”. Pomyślał o ptasim mleczku i o tym, że może zostać królem („Ciekaw jestem, czy Piotrowi będzie się to podobało”), i okropny pomysł wpadł mu do głowy.

— A więc jesteśmy na miejscu — oznajmił pan Bóbr — i wygląda na to, że pani Bobrowa nas oczekuje. Pokażę wam drogę. Uważajcie tylko, żeby się nie pośliznąć.

Tama okazała się wystarczająco szeroka, aby po niej iść, chociaż (dla ludzi) nie było to zbyt przyjemne ze względu na lód, który ją pokrywał. Z jednej strony zamrożone rozlewisko górnej rzeki równało się poziomem ze szczytem tamy, a z drugiej strony ziała niebezpieczna przepaść, na której dnie bieleły się lodowe fale dolnej rzeki. Pan Bóbr poprowadził ich gęsiego po szczycie tamy, aż na sam środek, skąd hen, do horyzontu, widać było rzekę z jednej i drugiej strony. Tutaj znajdowały się drzwi do jego domku.

— A więc jesteśmy, żono — powiedział pan Bóbr. — Znalazłem ich. Oto są Synowie i Córki Adama i Ewy.

Pierwszą rzeczą, która zwróciła uwagę Łucji, kiedy weszli do środka, był dziwnie znajomy turkot. Potem zobaczyła puszystą postać siedzącą w kącie przy maszynie do szycia. Była to pani Bobrowa. Na ich widok zatrzymała maszynę, wstała, wyjęła długą nitkę, która zwisała jej z pyska, i spojrzała na nich przyjaźnie.

— Wreszcie przybywacie! — powiedziała, wyciągając do nich swoje pomarszczone, stare łapy. — Nareszcie! Pomyśleć tylko, że dożyłam tego dnia! Kartofle już się gotują, czajnik podśpiewuje i mam nadzieję, panie Bobrze, że przyniesiesz nam jakąś rybkę.

— Przyniosę, a jakże — odpowiedział pan Bóbr i chwyciwszy cebrzyk, wyszedł z domu (a Piotr z nim). Na środku zamrożonego rozlewiska czerniał wyrąbany w lodzie siekierą niewielki przerębel. Pan Bóbr usiadł na jego brzegu (nie przejmując się wcale temperaturą), popatrzył uważnie w dziurę, potem nagle zanurzył błyskawicznie łapę w wodzie i zanim zdążylibyście powiedzieć „Kuba Wróbel”, wyciągnął pięknego pstrąga. Potem powtórzył tę sztukę tyle razy, ile było potrzeba, by cebrzyk napelnił się rybami.

W tym samym czasie dziewczynki pomagały pani Bobrowej napelnić kociołek wodą, nakryć do

stołu, pokroić chleb, włożyć talerze do piekarnika, aby się ogrzały, z beczułki stojącej w kącie nalać dla pana Bobra piwa do sporego kufla, postawić na ogniu patelnię i rozgrzać tłuszcz. Łucja pomyślała sobie, że dom

państwa Bobrów jest bardzo przytulny, choć w niczym nie przypominał pieczary pana Tumnusa. Nie było w nim książek ani obrazów, a zamiast łóżek wbudowano w ściany prycze, jak na okręcie. Z sufitu zwieszały się szynki i wieńce cebuli, a na ścianach wisiały gumowe buty, płaszcze nieprzemakalne, siekiery, nożyce, szpadle, rydło, rozmaite narzędzia murarskie, wędki, sieci rybackie i więcierze. A obrus na stole, choć bardzo czysty, był szorstki w dotyku.

Właśnie kiedy tłuszcz na patelni zaczynał już skwierczeć, Piotr i pan Bóbr powrócili z rybami, które gospodarz uprzednio wypatroszył i oczyścił nożem na świeżym powietrzu. Możecie sobie wyobrazić, jak cudownie pachniała smażąca się świeżo złowiona ryba i jak bardzo dzieciom ciekła ślinka, i jak głód ich wzrastał i wzrastał z każdą chwilą, aż wreszcie pani Bobrowa oznajmiła: „No, to jesteśmy już prawie gotowe”. Zuzanna odcedziła kartofle i postawiła je jeszcze na kuchni, aby odparowały, a Łucja pomogła pani Bobrowej wyłożyć pstrągi na półmisek. Wreszcie każdy mógł sobie przysunąć jeden ze stołków (w domu Bobrów wszystkie stołki miały trzy nogi; wyjątkiem był specjalny fotel na biegunach, w którym pani Bobrowa siadywała przy piecu) i przygotować się na bliskie już rozkosze podniebienia. Na stole stał dzban kremowego mleka dla dzieci (pan Bóbr wołał zostać przy piwie) i wielka bryła złocistego masła, z której każdy mógł sobie brać do kartofli tyle, na ile miał ochotę. Każde z dzieci pomyślało sobie — a ja zgadzam się z nimi — że nie ma nic lepszego nad dobrą rybę ze słodkiej wody, jeżeli je się ją w pół godziny po złowieniu i w pół minuty po zdjęciu z patelni. A kiedy skończyli jeść rybę, pani Bobrowa wyciągnęła niespodziewanie z piekarnika wielką, jeszcze gorącą i polukrowaną na wierzchu struclę z marmoladą i postawiła imbryk na ogniu, tak że kiedy skończyli struclę, herbata była już gotowa. I kiedy każdy dostał filiżankę herbaty, każdy podsunął swój stołek do ściany, aby się o nią wygodnie oprzeć, i każdy wydał z siebie długie westchnienie pełnego szczęścia.

— A teraz — powiedział pan Bóbr, odstawiając pusty już kufel i przysuwając sobie filiżankę herbaty — jeżeli będziecie tak mili i poczekacie, aż napełnię sobie fajkę, możemy zająć się naszymi sprawami. Widzę, że śnieg znowu pada — dodał, spoglądając w okno. — To najlepsze, co mogło się zdarzyć, bo to znaczy, że nie będziemy mieli nieproszonych gości, a jeśli ktoś próbował was tropić, nie znajdzie żadnych śladów.

Rozdział 8 CO WYDARZYŁO SIĘ PO OBIEDZIE

A TERAZ — poprosiła Łucja — niech nam pan opowie, co stało się z panem Tumnusem.

— No cóż, to paskudna, bardzo paskudna sprawa — odpowiedział pan Bóbr, potrząsając głową. — Nie ma wątpliwości, że zabrała go policja. Dowiedziałem się o tym od pewnego ptaka, który to wszystko widział.

— Ale dokąd go zabrali? — zapytała Łucja.

— Kiedy go ostatni raz widziano, prowadzili go na północ, a wszyscy wiemy, co to oznacza.

— Nie wszyscy. MY nie wiemy — powiedziała Zuzanna.

Pan Bóbr jeszcze raz potrząsnął głową ze smutkiem.

— Obawiam się, że to oznacza tylko jedno: prowadzą go do jej Domu.

— Ale co oni chcą z nim zrobić? — wydusiła z siebie Łucja.

— No cóż — odpowiedział pan Bóbr — trudno to z całą pewnością przewidzieć. W każdym razie z tych, których tam zabrano, niewielu dotąd powróciło. Posągi. Mówią, że cały ten Dom pełen jest posągów: na dziedzińcu, wzdłuż schodów, w wielkiej sali. Posągi tych, których ona zamieniła — tu przerwał na chwilę i wzdrygnął się — zamieniła w kamień.

— Ale, panie Bobrze — powiedziała Łucja — czy nie możemy... to znaczy my musimy coś zrobić, aby go uratować. To przecież jest straszne... i to wszystko z mojego powodu.

— Nie wątpię, żebyś go uratowała, gdybyś tylko mogła, moja kochana — wtrąciła się pani Bobrowa

— ale nie ma żadnej szansy, aby się dostać żywym do pałacu bez jej woli i wyjść z niego żywym.

— Czy nie możemy wymyślić jakiegoś fortelu?

— zapytał Piotr. — To znaczy, czy nie możemy przebrać się za kogoś albo udawać, że jesteśmy... no, na przykład wędrownymi sprzedawcami, albo kimkolwiek, albo zacząć się i czekać, aż ona będzie wyjeżdżała, albo, och..., do licha, przecież musi być jakiś sposób! Ten faun uratował moją siostrę, narażając swoje życie. Nie możemy go tak po prostu zostawić, żeby był... żeby... żeby z nim to zrobiono.

— Nie sądzę, Synu Adama — powiedział pan Bóbr — aby cokolwiek wyszło z WASZYCH prób. Ale skoro już Aslan jest w drodze...

— Właśnie! Opowiedz nam o Aslanie! — odezwało się kilka głosów naraz, ponieważ znowu, na sam dźwięk tego imienia, ogarnęło ich dziwne uczucie: jak pierwsze oznaki wiosny, jak dobra nowina.

— Kim jest Aslan? — zapytała Zuzanna.

— Aslan? — powtórzył pan Bóbr. — Jak to, nie wiecie? On jest Królem. On jest Panem całej puszczy, choć nie bywa tu często. Nie było go tu za mojego życia ani za życia mojego ojca. Ale oto doszła nas nowina, jakoby powrócił. Już jest w Narnii. On sobie poradzi z Białą Czarownicą. To on, a nie wy, może uratować pana Tumnusa.

— A czy ona nie może zamienić i jego w kamień? — zapytał Edmund.

— Niech cię Pan Bóg ma w swojej opiece, Synu Adama! Cóż to za naiwne pytanie — odpowiedział pan Bóbr, wybuchając śmiechem. — Zamienić w kamień JEGO? Jeżeli zdoła stanąć na własnych nogach przed nim i spojrzeć mu w twarz, to już będzie szczyt tego, na co ją stać. Nie, nie. On wszystko naprawi, jak mówi się w naszych stronach w pewnym starym wierszu:

Zło zostanie naprawione,
Gdy w tę Aslan przyjdzie stronę;
A gdy głośno on zaryczy,
Znikną smutki i gorycze;
A gdy zębem wkoło błysnie,
Zimę nagła śmierć uściśnie,
A gdy grzywą złotą wstrząśnie
Da początek wiecznej wiosnie.

Zrozumiecie zresztą sami, kiedy go zobaczycie.

— Ale czy go zobaczymy? — zapytała Zuzanna.

— O Córko Ewy, przecież właśnie dlatego tutaj jesteście. Mam was zaprowadzić tam, gdzie się z nim spotkacie.

— Czy... czy on jest człowiekiem? — zapytała Lucja.

— Aslan... człowiekiem! — powiedział pan Bóbr ostro. — Oczywiście, że nie. Powiedziałem wam, że on jest Królem puszczy i synem Wielkiego Władcy-Zza-Morza. Czyżbyście nie wiedzieli, kto jest królem zwierząt? Aslan jest lwem, i to nie jakimś tam lwem, ale Wielkim Lwem!

— Och! — zawołała Zuzanna. — Myślałam, że jest człowiekiem. Czy on... nie jest groźny? Obawiam się, że może mi się zrobić słabo, kiedy spotkam lwa.

— Nie ma wątpliwości, że ci się zrobi słabo, moja kochana — odezwała się pani Bobrowa. — Jeżeli jest ktoś, kto może stanąć przed Aslanem, nie trzęsąc się przy tym ze strachu, to albo jest najdzielniejszym z dzielnych, albo jest po prostu głupi.

— A więc on jest groźny? — zapytała Lucja.

— Groźny? — powtórzył pan Bóbr. — Nie słyszałaś, co powiedziała moja żona? Oczywiście, że jest groźny. Ale jest dobry. Powiedziałem wam, że on jest Królem.

— Tak bardzo chciałbym go zobaczyć — powiedział Piotr. — Nawet jeśli miałbym się bardzo bać, gdy do tego dojdzie.

— Masz świętą rację, Synu Adama — powiedział pan Bóbr, uderzając łapą w stół z taką siłą, że wszystkie filiżanki i spodeczki podskoczyły z hałasem.

— I zobaczysz go. Nadeszła wiadomość, że macie się właśnie z nim spotkać — jutro, jeśli to będzie możliwe — przy Kamiennym Stole.

— Gdzie to jest? — zapytała Lucja.

— Pokażę wam — powiedział pan Bóbr. — To jest w dół rzeki, dobry kawałek stąd. Zaprowadzę was.

— Ale co będzie z biednym panem Tumnusem?

— Nie ma szybszego sposobu udzielenia mu pomocy od spotkania się z Aslanem. Kiedy już będzie z nami, możemy zaczynać. To wcale nie znaczy, że nie będziemy was potrzebować. Jest jeszcze jeden stary wiersz, który głosi:

Gdy ciało z ciała Adama i kość z jego kości,
W Ker-Paravelu na tronie zagości,
Przeminą złe czasy niegodziwości.

A więc musi zbliżyć się spełnienie tego wszystkiego, skoro on nadchodzi i wy już jesteście. Słyszeliśmy, że kiedyś, kiedyś — nikt nie wie kiedy — Aslan był już w tych stronach. Ale nigdy jeszcze nie widziano tu nikogo z waszej rasy.

— Tego właśnie nie rozumiem, panie Bobrze — powiedział Piotr. — Czyżby Czarownica nie była człowiekiem?

— Bardzo by chciała, żebyśmy w to uwierzyli, bo właśnie na tym opiera swoje roszczenia do tronu Narnii. Ale ona nie jest Córką Ewy. Ona pochodzi od Lilith, która twierdziła, że jest pierwszą żoną waszego praojca Adama — tutaj pan Bóbr skłonił się — ale naprawdę należała do rasy dzinnów. Tyle jeśli idzie o jej pochodzenie z jednej strony. Z drugiej strony pochodzi od olbrzymów. Nie, nie, w tej Czarownicy nie płynie ani jedna kropla prawdziwej ludzkiej krwi.

— I właśnie dlatego jest na wskroś zła — dodała pani Bobrowa.

— Jeżeli już mamy być całkiem szczerzy, moja żono — powiedział pan Bóbr — to mogą być dwie różne opinie na temat ludzi, bez obrazy tutaj obecnych.

Ale z całą pewnością trudno o dwie różne opinie na temat takich typów, którzy wyglądają jak ludzie, a nimi nie są.

— Znam zupełnie przyzwoite karły — powiedziała pani Bobrowa.

— I ja również, jeżeli już mamy o tym mówić — odparł jej mąż — ale tak naprawdę to nie jest ich zbyt wielu, a w dodatku nie bardzo przypominają ludzi. Ale biorąc rzecz w ogólności, posłuchajcie mojej rady i kiedy spotkacie kogoś, kto zamierza być człowiekiem, a jeszcze nim nie jest, albo kiedyś był człowiekiem, a już nim być przestał, albo też powinien być człowiekiem, a nim nie jest — to nie spuszczać go z oka i przypomnijcie sobie, gdzie macie siekiere. Ale, wracając do rzeczy, właśnie dlatego ta wiedźma wciąż wypatruje, czy w Narnii nie pojawi się jakiś prawdziwy człowiek. Wypatruje was od lat, a jeżeli się dowie, że jest was czworo, będzie jeszcze bardziej niebezpieczna.

— A co to ma do rzeczy? — zapytał Piotr.

— Istnieje jeszcze jedna przepowiednia. W Ker-Paravelu — jest to zamek położony na brzegu morza, u ujścia rzeki, który powinien być stolicą całego kraju, gdyby wszystko działa się tak, jak dzieć powinno — a więc w Ker-Paravelu znajdują się cztery trony, a od niepamiętnych czasów krąży po Narnii przepowiednia, że kiedy dwóch Synów Adama i dwie Córki Ewy zasiądą na tych tronach, nadejdzie koniec — już nie tylko panowania Białej Czarownicy, ale i jej życia. Oto dlaczego musieliśmy być tacy ostrożni, kiedy tu wędrowaliśmy. Gdyby się tylko dowiedziała, że jest was czworo, wasze życie nie byłoby warte kawałeczka moich wąsów.

Wszystkie dzieci były tak zasłuchane w opowieść pana Bobra, że zapomniały o Bożym świecie. Teraz, po chwili milczenia, które zapadło po jego ostatnich słowach, Łucja zapytała, nagle:

— Słuchajcie, gdzie jest Edmund?! i

Zapanowała złowroga cisza, a potem wszyscy, jeden przez drugiego, zaczęli zadawać sobie bezładne pytania: „Kto go widział ostatni?” — „A może wyszedł na dwór?” — „Od jak dawna go nie ma?” Rzucili się do drzwi i wyjrzelili na zewnątrz. Śnieg sypał gęsto, zielonkawy lód na powierzchni rozlewiska pokrył się już całkowicie białą pierzyną, a ze środka tamy, gdzie stali, ledwo można było dostrzec oba brzegi. Wyszli z domku i zapadając się po kostki w miękkie, sypkie śnieg, krążyli wokół, nawołując aż do zachrypnięcia: „Edmund! Edmund!” Ale cicho padający śnieg wydawał się tłumić ich głosy i nie było nawet echa w odpowiedzi.

— Och, jakie to okropne! — biadała Zuzanna, kiedy w końcu dali spokój poszukiwaniom i zrozpaczeni wrócili do domku. — Och, jak żałuję, że w ogóle tu przychodziliśmy!

— I co teraz mamy robić, panie Bobrze? — zapytał Piotr.

— Robić? — powtórzył gospodarz, który już wkładał długie buty. — Co robić? Musimy natychmiast ruszać w drogę. Nie mamy ani chwili do stracenia.

— Będzie lepiej, jak podzielimy się na cztery grupy poszukiwawcze — powiedział Piotr — i rozejdziemy w różnych kierunkach. Jeżeli ktoś z nas go znajdzie, musi od razu wrócić i...

— Grupy poszukiwawcze? — zapytał pan Bóbr.

— A po co?

— Jak to? Aby szukać Edmunda!

— Nie ma najmniejszego sensu go szukać — oświadczył pan Bóbr.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — odezwała się Zuzanna. — Przecież nie mógł odejść daleko. A my musimy go znaleźć. Co pan miał na myśli mówiąc, że nie ma sensu go szukać?

— Powód, dla którego nie ma sensu go szukać, jest prosty: ponieważ dobrze wiemy, dokąd poszedł — odpowiedział spokojnie pan Bóbr. Wszyscy popatrzyli na niego ze zdumieniem.

— Czy wy nie rozumiecie? — powiedział pan Bóbr. — On poszedł do NIEJ, do Białej Czarownicy.

Zdradził nas wszystkich.

— Och, naprawdę! — zawołała Zuzanna. — Przecież nie mógł tego zrobić!

— Nie mógł? — zapytał pan Bóbr, patrząc uważnie na troje dzieci, i wszystko, co chciały powiedzieć, zamarło im na ustach, ponieważ każde z nich nagle poczuło, że Edmund na pewno to zrobił.

— Czy sądzi pan, że on wie, jak tam trafić? — zapytał Piotr.

— A czy był już kiedyś w tym kraju? — odpowiedział pytaniem pan Bóbr. — Czy kiedykolwiek był tu sam?

— Tak — powiedziała Łucja prawie szeptem. — Obawiam się, że był.

— A czy mówił wam, co tu robił i kogo spotkał?

— No więc... nie, nie mówił — odpowiedziała Łucja.

— A więc posłuchajcie, co wam powiem — oświadczył pan Bóbr. — A powiem wam, że on już spotkał Białą Czarownicę, już jest po jej stronie i już wie, gdzie ona mieszka. Nie chciałem wam wcześniej tego mówić..., ostatecznie to wasz brat! Ale kiedy go tylko zobaczyłem, powiedziałem sobie: „On mi wygląda niepewnie”. On mi wyglądał na takiego, co spotkał się z tą wiedźmą i jadł to, co mu dała. Jeśli będziecie długo żyli w Narnii, zawsze to poznacie. Jest coś takiego w ich oczach...

— A jednak — powiedział Piotr zdławionym głosem — musimy iść i szukać go. Ostatecznie to nasz brat, nawet jeśli prócz tego jest małym potworem. No, i to jeszcze dziecko.

— Iść do domu Czarownicy? — zapytała pani Bobrowa. — Czy nie rozumiecie, że jedynym sposobem na to, aby uratować jego i siebie, jest trzymanie się od niej z daleka?

— Co pani ma na myśli? — zapytała Łucja.

— Przecież ona właśnie tego pragnie: dostać was wszystkich czworo w swoje szpony. Przez cały czas myśli o tych czterech tronach w Ker-Paravelu. Kiedy już raz znajdziecie się w pałacu, przestanie się niepokoić; po prostu do jej kolekcji przybędą cztery nowe posągi, i to zanim zdążycie wypowiedzieć choćby jedno słowo. A dopóki ma tylko jego, to myślę, że nie zrobi mu krzywdy, bo to najlepsza przynęta, aby zwabić was troje.

— Och, czy NIKT nie może nam pomóc? — jęknęła głucho Łucja.

— Tylko Aslan — powiedział pan Bóbr. — Musimy iść i spotkać się z Aslanem. To jest teraz nasza jedyna szansa.

— Wydaje mi się, moi kochani — wtrąciła się znowu pani Bobrowa — że jest bardzo ważne, aby ustalić, KIEDY on się wymknął z domu. Bo to, co może jej powiedzieć, zależy od tego, co usłyszał. Na przykład, czy zaczęliśmy mówić o Aslanie, zanim wyszedł? Jeżeli nie, to jesteśmy górami, bo wobec tego ona nie będzie wiedziała, że Aslan przybył do Narnii oraz że mamy się z nim spotkać, a w takim razie nie będzie się miała na baczności, przynajmniej jeśli o TO chodzi.

— Nie mogę sobie przypomnieć, czy tu jeszcze był, kiedy rozmawialiśmy o Aslanie — zaczął Piotr, ale Łucja szybko mu przerwała:

— Och, tak, był! Pamiętacie, to właśnie on zapytał, czy Czarownica nie może zamienić Aslana w kamień.

— A więc był — powiedział Piotr. — Tak, i to jest ten rodzaj pytania, który bardzo do niego pasuje.

— Coraz gorzej, coraz gorzej — zamruczał pan Bóbr. — A teraz następna sprawa: czy był tu jeszcze, kiedy wam powiedziałem, że mamy się spotkać z Aslanem przy Kamiennym Stole?

I naturalnie nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

— Bo jeśli był — ciągnął pan Bóbr — to ona bardzo szybko popędzi saniami w tym kierunku, za-

grodzi nam drogę do Kamiennego Stołu i będzie chciała nas złapać, jak będziemy tam szli. W ten sposób zostaniemy odcięci od Aslana.

— Jak ją znam — dodała pani Bobrowa — to akurat nie będzie pierwszą rzeczą, jaką zrobi. Jak tylko Edmund powie jej, gdzie jesteście, wyruszy, aby nas wszystkich złapać jeszcze tej nocy. A jeżeli uciekł jakieś pół godziny temu, to ona tu będzie za jakieś dwadzieścia minut.

— Masz świętą rację, moja żono — powiedział pan Bóbr. — Musimy natychmiast stąd uciekać. Nie ma nawet chwili do stracenia.

Rozdział 9 W DOMU CZAROWNICY

A TERAZ CHCIELIBYŚCIE się na pewno dowiedzieć, co się stało z Edmundem. Edmund zjadł obiad wraz z innymi, ale nie sprawiało mu to specjalnej przyjemności, ponieważ przez cały czas myślał o ptasim mleczku, a nic tak nie psuje smaku dobrego, normalnego jedzenia, jak wspomnienie o jakimś złym, zaczarowanym przysmaku. Rozmowa, której się przysłuchiwał, również nie sprawiała mu przyjemności, bo miał wrażenie, że nikt nie zwraca na niego uwagi, a jeśli już ktoś zwraca, to traktuje go bardzo ozięble. Oczywiście mijало się to z prawdą, ale Edmund był o tym święcie przekonany. Wysłuchał tego wszystkiego, co pan Bóbr mówił im o Aslanie, a kiedy dowiedział się o spotkaniu wyznaczonym przy Kamiennym Stole, niepostrzeżenie wśliznął się za kotarę, która osłaniała drzwi. Podczas gdy w innych samo wspomnienie imienia Aslana rodziło jakieś tajemnicze, cudowne uczucie, w nim budziło coś równie tajemniczego, ale i straszego zarazem.

W tym samym momencie, w którym pan Bóbr recytował wiersz *O ciele z ciała Adama i kości z jego kości*, Edmund ostrożnie nacisnął klamkę, a zanim pan Bóbr zaczął im mówić, że Biała Czarownica nie jest wcale człowiekiem, lecz pochodzi w połowie od dzinnów, a w połowie od olbrzymów, Edmund wymknął się z domu i jak mógł najciszej zamknął za sobą drzwi.

Nie powinniście sądzić, że Edmund był już tak przeżarty niegodziwością, by pragnął zaczarowania brata i siostr w kamienne posągi. Bardzo mu się chciało ptasiego mleczka, a prócz tego pragnął już zostać księciem (a później królem) i odplacić Piotrowi za to, że nazwał go potworem. Jeśli chodzi o to, co Czarownica robi z jego rodzeństwem, to nie życzył sobie bynajmniej, aby była dla nich zbyt miła — a z całą pewnością nie chciał, by potraktowała ich tak dobrze, jak jego — ale starał się wierzyć, a przynajmniej udawał przed samym sobą, że wierzy, iż nie będzie dla nich zbyt okrutna. „Wszyscy, którzy mówią o niej takie wstrętne rzeczy — myślał sobie w duchu — są po prostu jej wrogami; z pewnością nawet połowa z tego nie jest prawdą. W każdym razie była dla mnie bardzo miła, o wiele miłsza niż oni. Jestem przekonany, że to ona jest prawdziwą królową, a w każdym razie jest na pewno lepsza od tego straszego Aslana!” Wszystko to mówił sobie, aby znaleźć usprawiedliwienie tego, co właśnie robił, ale tak naprawdę wcale nie był przekonany, że jest to słuszne. W głębi serca Edmund czuł, że Biała Czarownica jest zła i okrutna.

Pierwszą rzeczą, z jakiej zdał sobie sprawę, gdy wyszedł na dwór, w gęsto padający śnieg, był brak płaszcza, który został w domku bobrów. Nie było, rzecz jasna, żadnej szansy na to, aby wrócić i zabrać go tak, by nikt tego nie zauważył. Stwierdził też, że zrobiło się już prawie ciemno. Gdy zasiedli do obiadu, była prawie trzecia, a w zimie dni są krótkie. Nie wziął tego przedtem pod

uwagę, ale teraz nie zamierzał się już wycofywać. Postawił więc kołnierz i zaczął się posuwać ostrożnie po szczycie tamy (który na szczęście nie był już tak śliski, odkąd przykryła go gruba warstwa śniegu) ku dalekiemu brzegowi rzeki.

Kiedy dotarł do brzegu, zrobiło się jeszcze gorzej. Ciemność gęstniała z każdą chwilą, a w dodatku płatki śniegu wirowały wokół niego tak gęsto, że trudno było zobaczyć coś dalej niż na dwa kroki. Nie było też żadnej drogi. Wpadał po pas w głębokie zasy śnieżne, przewracał się na zamrzniętych kałużach, potykał się o zwalone pnie, ześlizgiwał ze stromych zboczy i rozbijał kolana o skały, aż w końcu cały był przemoknięty, przemarznięty i poobtłukiwany. Cisza i poczucie samotności napępiały go strasznym lękiem. Jestem pewien, że mógłby w końcu zrezygnować z całego planu, wrócić, przyznać się do wszystkiego i pogodzić z resztą rodzeństwa, gdyby nie przyszła mu do głowy następująca myśl: „Kiedy już zostanę królem Narnii, pierwszą rzeczą, jaką zrobię, będą porządne drogi”. A kiedy już zaczął myśleć o tym, że będzie królem, i o różnych rzeczach, które zwykle mogą robić monarchowie, poczuł się nieco raźniej. Rozmyślał więc nad tym, jak będzie wyglądał jego pałac, ile będzie miał samochodów i prywatnych kin, gdzie wytyczy główne drogi i jakie wyda ustawy na temat bobrów i budowania przez nich tam. Właśnie zastanawiał się nad szczegółami zasad, które pozwolą na utrzymanie Piotra w należyтым posłuszeństwie, gdy spostrzegł, że pogoda się zmienia. Najpierw przestał padać śnieg. Potem zaczął dąć przenikliwy, lodowaty wiatr, który rozgonił chmury. Wyłonił się księżyc w pełni, którego światło zalało cały zaśnieżony krajobraz, i gdyby nie czarne, niepokojące cienie, mogłoby się wydawać, że jest dzień.

Gdyby nie księżyc, Edmund prawdopodobnie nigdy by nie znalazł drogi. Teraz stwierdził, że dotarł już do owej drugiej rzeczki (tej, którą zobaczył ze szczytu tamy, gdy przyszedli do domku pana Bobra), mającej swe ujście nieco poniżej tamy. Pamiętając o położeniu dwu wzgórz, skierował się w górę jej biegu. Dolinka, którą szedł, okazała się o wiele bardziej stroma, skalista i zarośnięta, tak że z trudem posuwał się naprzód. Kilka razy zatrzymał się, aby trochę odsapnąć, i za każdym razem z jakiejś gałęzi spadała mu na plecy wielka bryła śniegu. I za każdym razem Edmund myślał, jak bardzo nienawidzi Piotra — zupełnie tak, jakby to była jego wina.

W końcu doszedł jednak do miejsca, w którym teren był równiejszy, a strome brzegi dolinki ustąpiły łagodnemu zboczowi. I oto przed nim, na drugim brzegu rzeki, wznosił się na niewielkiej równinie pomiędzy dwoma wzgórzami Dom Królowej. Księżyc wydawał się teraz świecić jeszcze jaśniej. Dom był w rzeczywistości małym zamkiem. Sprawiał wrażenie, jakby cały składał się z wież o wysokich, ostro zakończonych dachach, przypominających spiczaste kapelusze, jakie noszą wróżki i czarnoksiężnicy. Dachy wież lśniły w blasku księżyca, a ich długie cienie kładły się złowrogo na śniegu. Edmund zaczął się trochę bać tego Domu. Było już jednak za późno, aby się wycofać. Przeszedł po lodzie na drugi brzeg i zaczął iść w kierunku zamku. Naokoło nie dostrzegał najmniejszego ruchu, nie słyszał najlżejszego dźwięku. Nie słyszał nawet swoich własnych kroków po świeżo spadłym śniegu. Szukając wejścia, szedł i szedł, od jednego rogu Domu do drugiego, mijając wciąż nowe baszty. Musiał obejść prawie cały zamek, zanim odnalazł olbrzymią, zwieńczoną łukiem bramę. Żelazne wrota były otwarte na oścież.

W bramie zatrzymał się i zajrzał ostrożnie na dziedziniec. To, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. Tuż przy bramie stał na ugiętych łapach olbrzymi lew, jakby gotował się do skoku. Edmund zamarł w cieniu bramy, bojąc się zrobić krok w przód i bojąc się uciekać, a kolana stukały mu leciutko jedno o drugie. Stał tak długo, że na pewno zęby zaczęłyby mu szczekać z zimna, gdyby już uprzednio nie szczekały ze strachu. Jak długo to naprawdę trwało, nie wiem, ale Edmundowi wydawało się, że upłynęły całe godziny.

W końcu zaczął się trochę dziwić, dlaczego lew zamarł tak w bezruchu: odkąd na niego po raz

pierwszy spojrzął, zwierzę nie poruszyło się nawet o centymetr. Posunął się ostrożnie do przodu, wciąż pamiętając, aby padał na niego cień bramy. Ze sposobu, w jaki lew stał, wywnioskował, że zwierzę wcale na niego nie patrzy. („Przypuśćmy jednak, że odwróci głowę...”, pomyślał.) Lew patrzył na coś innego — na niewielkiego karzełka, który stał ze dwa metry dalej, odwrócony do niego plecami. „Aha! — pomyślał Edmund. — Kiedy skoczy na karzełka, spróbuję uciec”. Ale lew tkwił wciąż w bezruchu, podobnie zresztą jak i karzełek. I w końcu Edmund przypomniał sobie, jak mówiono, że Biała Czarownica zamienia swoich wrogów w kamienie. Gdy tylko o tym pomyślał, dostrzegł śnieg na głowie i grzbiecie lwa. Ależ naturalnie, to może być tylko posąg! Żadne zwierzę nie pozwoliłoby na to, aby je pokrył śnieg. Powoli, z sercem bijącym tak, że czuł je w gardle, zbliżył

się do lwa. Nawet teraz nie mógł się przez dłuższą chwilę ośmielić, by go dotknąć, aż wreszcie wyciągnął szybko rękę i zrobił to. Poczul zimny kamień. A więc bał się zwykłego posągu!

Ulga, jaką odczuł, była tak wielka, że pomimo mrozu zrobiło mu się cieplej i natychmiast wpadło mu do głowy coś, co uznał za wspaniałe odkrycie. „To jest na pewno ten wielki lew Aslan, o którym oni opowiadali. To znaczy, że ona go już złapała i zamieniła w kamień. A więc TAK wygląda prawdziwy koniec tych wszystkich bajek! Phi! Kto się teraz boi Aslana?”

I tak stał, sycąc oczy widokiem skamieniałego lwa, aż wreszcie przyszedł mu do głowy jeszcze jeden głupi i bardzo dziecinny pomysł. Wyjął z kieszeni kawałek kopiowego ołówka i domalował lwu wąsiki, a potem okulary. „Taaak! — powiedział, zadowolony z siebie. — Stary, głupi Aslanie! Jak się czujesz, będąc kamieniem? A myślałeś, że jesteś taki mocny”. Ale mimo tych wąsików i okularów wielka kamienna bestia wyglądała w świetle księżyca wciąż tak strasznie, przynębiająco i szlachetnie zarazem, że te drwiny wcale nie sprawiły Edmundowi wielkiej przyjemności. Odwrócił się więc i zaczął iść przez dziedziniec.

Kiedy znalazł się na środku, zobaczył wszędzie tuziny posągów stojących tu i tam, jak figury na szachownicy w połowie partii szachów. Były tu więc kamienne satyry i kamienne wilki, niedźwiedzie, lisy i dzikie koty. Były też cudowne kamienne figurki, wyglądające jak młode dziewczęta (w rzeczywistości były to duchy drzew). Był wielki skamieniały centaur i uskrzydłony koń, i wielki wijący się potwór, przypominający smoka. Wszystkie te postacie wyglądały tak niesamowicie, gdy tak stały jak żywe, lecz zupełnie nieruchome i ciche w księżycowej poświacie, że przejście przez dziedziniec wcale nie było czymś najprzyjemniejszym. W samym środku stał posąg przypominający człowieka, lecz wysoki jak drzewo, z dziką twarzą i zwichrzoną brodą, trzymający w ręku wielką maczugę. Edmund był pewien, że jest to tylko kamienny olbrzym, ale jakoś nie miał ochoty koło niego przejść.

Teraz zauważył blade światło sączące się z drzwi na końcu dziedzińca. Poszedł w ich kierunku. Do drzwi wiodły niezbyt wysokie kamienne schody. Kiedy się na nie wspiał, znowu zamarł z przerażenia. Na szczycie schodów, w poprzek drzwi, leżał wielki, szary wilk.

„W porządku, wszystko w porządku — powtarzał sobie Edmund — to tylko wilk z kamienia. Nic mi nie może zrobić”. Uniósł nogę, aby nad nim przejść, gdy nagle bestia powstała ze zjeżoną na grzbiecie sierścią, otworzyła wielki, czerwony w środku pysk i powiedziała bulgocącym ze złości głosem:

— Kto tu jest? Kto tu jest? Stój spokojnie, obcy przybyszu, i powiedz mi, kim jesteś.

— Tak jest, panie — wyjąkał Edmund, trzęsąc się tak, że ledwo mógł mówić. — Nazywam się Edmund i jestem tym Synem Adama, którego jej królewska wysokość spotkała pewnego dnia w lesie, i przyszedłem, aby przynieść jej wiadomość, że mój brat i moje siostry są już w Narnii, całkiem blisko stąd, w domu bobrów. Ona... ona chciała ich widzieć.

— Powiem jej królewskiej wysokości — warknął wilk. — A tymczasem stój spokojnie na progu, jeśli ci życie miłe. — Po tych słowach zniknął we wnętrzu.

Edmund stał i czekał. Palce bolały go z zimna, a serce łomotało mu w piersiach, aż wreszcie szary wilk — a był to Maugrim, szef Tajnej Policji Królewskiej — powrócił w susach z powrotem i oznajmił: — Wejdz! Wejdz, szczęśliwy pupilku królowej... choć może nie tak znowu szczęśliwy...

I Edmund wszedł, starając się nie nadebrać przypadkiem na łapy wilka.

Teraz znalazł się w wielkiej, ponurej sali, podpartej wieloma kolumnami i — tak jak dziedziniec — pełnej posągów. Tuż przy drzwiach stał mały skamieniały faun z bardzo nieszczęśliwą miną i Edmund nie mógł się oprzeć wrażeniu, że może to być przyjaciel Łucji. W sali płonęła tylko jedna lampa. W kręgu jej światła siedziała Biała Czarownica.

— Przyszedłem, najjaśniejsza pani — wyjąkał Edmund.

— Jak śmiałeś przyjść tu sam? — zapytała Czarownica głosem mrozącym krew w żyłach. — Czyż ci nie powiedziałam, żebyś przyprowadził ze sobą resztę?

— Niech wasza królewska wysokość zechce mnie wysłuchać — powiedział Edmund. — Zrobiłem wszystko, co mogłem. Przyprowadziłem ich bardzo blisko stąd. Są w domku na szczycie tamy, jak się idzie w górę rzeki, u państwa Bobrów.

Na twarzy Czarownicy pojawił się powoli okrutny uśmiech.

— Czy to wszystko, co chcesz mi powiedzieć?

— Nie, najjaśniejsza pani. — I Edmund opowiedział jej dokładnie wszystko, co usłyszał, zanim opuścił dom bobrów.

— Co? Aslan? — krzyknęła królowa. — Aslan! Czy to prawda? Jeśli się okaże, że mnie okłamujesz...

— Ja... ja tylko powtarzam, o czym oni mówili — wyjąkał Edmund.

Ale królowa przestała zwracać na niego uwagę i zaklaskała w dłonie. Nagle pojawił się ten sam karzeł, którego już widział za pierwszym razem.

— Przygotuj sanie — rozkazała — I załóż uprząż bez dzwonek.

Rozdział 10

CZARY ZACZYNAJĄ TRACIĆ SWĄ MOC

A TERAZ MUSIMY POWRÓCIĆ do państwa Bobrów i trójki pozostałych dzieci. Jak tylko pan Bóbr zawołał: „Nie ma ani chwili do stracenia!”, wszyscy zaczęli pośpiesznie wciągać płaszcze. Wszyscy — prócz pani Bobrowej, która zebrała kilka worków, położyła je na stole i zwróciła się do męża:

— A teraz sięgnij no po tę szynkę. I daj jeszcze paczkę herbaty. I cukier. Weźmiemy też trochę zapalek. I niech ktoś wyjmie ze dwa lub trzy bochenki chleba z tego kotła w rogu.

— Co pani robi, pani Bobrowo? — wykrzyknęła Zuzanna.

— Pakuję dla każdego prowiant, moja kochana — odpowiedziała spokojnie. — Chyba nie myślisz, że wyruszymy w drogę bez jedzenia.

— Ale przecież nie mamy czasu! — powiedziała Zuzanna, zapinając się pod szyją. — Ona może tu być w każdej chwili.

— To samo mówię — zgodził się pan Bóbr.

— A dajcie mi wszyscy święty spokój — powiedziała jego żona. — Pomyśl tylko, mężu. Przecież ona nie może tu być prędzej niż za kwadrans.

— Ale czy nie musimy wyruszyć jak najszybciej __wtrącił się Piotr — jeśli chcemy dotrzeć do Kamiennego Stołu przed nią?

— Musi pani pamiętać, pani Bobrowo — dodała Zuzanna — że jak tylko tu przybędzie i zobaczy, że nas nie ma, natychmiast tam wyruszy.

— Na pewno to zrobi — zgodziła się pani Bobrowa — ale i tak będzie tam przed nami, choćbyśmy stawali na głowie. Ona ma sanie, a my będziemy szli pieszo.

— A więc... nie mamy żadnej szansy?

— Przestań się tak gorączkować, moja kochana, tylko wyjmij z pół tuzina czystych chusteczek z tamtej szuflady. Oczywiście mamy szansę. Nie możemy tam być PRZED nią, ale możemy się ukrywać i iść takimi drogami, których ona nie zna. W ten sposób może się nam uda jakoś przejść.

— Masz świętą rację, moja żono — wtrącił pan Bóbr — ale teraz naprawdę musimy już iść.

— A TY też nie zaczynaj robić zamieszania, mężu. O, tak. Tak jest lepiej. Tu są cztery worki, dla każdego po jednym, i ten najmniejszy dla najmniejszej z nas. To dla ciebie, moja kochana — dodała i spojrzała na Łucję.

— Och, błagam panią, chodźmy już — powiedziała Łucja.

— No, jestem już prawie gotowa — oznajmiła wreszcie pani Bobrowa, pozwalając mężowi włożyć sobie śniegowce. — Maszyna do szycia jest chyba za ciężka, żeby ją brać ze sobą, co?

— Tak, ZA ciężka — odparł pan Bóbr. — O wiele za ciężka. I chyba nie sądzisz, że będziesz mogła szyć w drodze?

— Nie mogę się pogodzić z myślą, że ta wiedźma będzie przy niej majstrować i połamie ją albo ukradnie, jak amen w pacierzu.

— Och, błagam, błagam, błagam, pospieszcie się! — krzyknęło jednocześnie troje dzieci.

I w końcu wyszli wszyscy na dwór, pan Bóbr zamknął drzwi na klucz („To ją trochę zatrzyma”) i ruszyli w drogę, każdy ze swoim węzełkiem na ramieniu.

Właśnie śnieg przestał padać i zza chmur wyszedł księżyc. Szli gęsiego: pan Bóbr na czele, potem Łucja, Piotr, Zuzanna, a na końcu pani Bobrowa. Pan Bóbr poprowadził ich przez tamę na prawy brzeg, a potem bardzo wyboistą i ledwo widoczną ścieżką tuż nad samą rzeką. Zbocza doliny, jaśniejące w blasku księżyca, wznosiły się stromo nad ich głowami.

— Najlepiej trzymać się jak najniżej — powiedział pan Bóbr szeptem. — Ona będzie jechać górą, bo nie zdołałaby zjechać tu na dół saniami.

Sceneria była piękna, zwłaszcza gdyby się ją mogło oglądać przez okno z wygodnego fotela, ale i tak Łucja zachwycała się nią — z początku. Ale kiedy tak szli i szli, a worek robił się coraz bardziej i bardziej ciężki, zaczęła się niepokoić, czy aby to wszystko wytrzyma. Wkrótce przestała patrzeć na jaśniejącą w ciemnościach zamrzniętą rzekę z jej lodowymi kaskadami, na wielki, jarzący się księżyc i niezliczone gwiazdy. Widziała przed sobą tylko łapki pana Bobra, przebierające szybko i regularnie po śniegu, jakby nie miały się nigdy zatrzymać. Potem księżyc schował się za chmury i znowu zaczął padać śnieg. W końcu Łucja była już tak zmęczona, że prawie zasnęła w marszu. Nagle zdała sobie sprawę, że pan Bóbr skręcił w prawo i prowadzi ich teraz w górę zbocza, w najgęstsze zarośla. A kiedy rozbudziła się już całkowicie, zobaczyła, jak pan Bóbr znika nagle w małej dziurze, prawie zupełnie niewidocznej między krzakami, zanim się nie stanęło tuż przed nią. Kiedy sobie uświadomiła, co się dzieje, z czarnego otworu wystawał już tylko jego krótki, płaski ogon.

Łucja zatrzymała się i wpełzła za nim do dziury. Potem usłyszała za sobą odgłosy gramolenia się na czworakach, sapanie i kichanie — i oto cała piątka była już razem w środku.

— Gdzie jesteście? — zapytał Piotr zmęczonym i wyblakłym głosem. (Mam nadzieję, że wiecie, co mam na myśli, mówiąc o wyblakłym głosie.)

— To stara kryjówka bobrów, używana w złych czasach — odpowiedział pan Bóbr — a jej położenie utrzymywane jest w największej tajemnicy. Nie ma tu zbyt wiele miejsca, ale musimy przespać się parę godzin.

— Gdybyście wszyscy nie byli w takiej piekielnej gorączce, jak wyruszyliśmy w drogę, tobym zdążyła zabrać kilka poduszek — powiedziała pani Bobrowa.

Nie była to pieczara nawet w przybliżeniu tak przytulna jak dom pana Tumnusa: po prostu zwykła, sucha jama, wydrążona w ziemi. Miejsca rzeczywiście nie było tu zbyt wiele, tak że kiedy się wszyscy położyli, sprawiali wrażenie jednego wielkiego tobołka z ubraniami. Było im jednak ciepło — zwłaszcza że rozgrzał ich szybki marsz — i całkiem przyjemnie. Gdyby tylko podłoga była trochę bardziej równa! Pan Bóbr puścił w obieg małą, płaską butelkę, z której każdy pociągnął łyk czegoś, co powodowało kaszel i piekło w gardle, ale po przełknięciu cudownie rozgrzewało — i wszyscy zapadli w głęboki sen.

Łucji zdawało się, że upłynęła zaledwie chwilka (choć w rzeczywistości minęło kilka dobrych godzin), gdy obudziła się, trochę zziębnięta i strasznie zeszywniała, myśląc, że dobrze by było wziąć gorącą kąpiel. Potem poczuła, że czyjeś długie wasy łaskoczą ją w policzek i zobaczyła zimne światło dzienne, sączące się przez otwór wejściowy. Po chwili rozbudziła się całkowicie, podobnie jak pozostali. Wszyscy usiedli z szeroko otwartymi oczami i ustami, słuchając tego dźwięku, o którym myśleli (a czasem wydawało się im, że go słyszeli) w ciągu całej nocnej wędrówki. Był to dźwięk brzęczących dzwoneczków.

Pan Bóbr błyskawicznie wyskoczył z jamy. Może się wam wydaje, że zrobił głupio — i tak pomyślała Łucja. A jednak było to naprawdę rozsądne posunięcie. Wiedział, że potrafi się wspinać aż na szczyt zbocza nie zauważony przez nikogo, a chciał za wszelką cenę zobaczyć, w którą stronę kierują się sanie Czarownicy. Pozostali siedzieli cichutko w jamie, czekając i zastanawiając się, co z tego wyniknie. Czekali tak prawie pięć minut, aż usłyszeli coś, co ich przeraziło. Usłyszeli głosy. „Och! — pomyślała Łucja. — Zobaczono go. Ona go złapała!” Ale, ku ich zaskoczeniu, rozległ się głos pana Bobra:

— Wszystko w porządku! Wyjdź, żono! Wychodźcie, Synowie i Córki Adama. Wszystko w porządku! To nie jest JEJ! — Oczywiście nie było to w porządku z gramatyką, ale tak już bobry mówią, kiedy są bardzo podniecone — w każdym razie w Narnii, ponieważ w naszym świecie przeważnie w ogóle nie mówią.

Wszyscy wysypali się z jamy, mrugając oczami w pełnym świetle dnia, umazani ziemią, pomięci, rozczochrani i zaspani.

— Dalej! — krzyknął pan Bóbr, prawie tańcząc w miejscu z radości. — Chodźcie i zobaczcie! A to dopiero paskudny kawał zrobiono Czarownicy! Wygląda na to, że jej władza już trzeszczy!

— O czym pan mówi, panie Bobrze? — wysapał Piotr, kiedy wspinali się po stromym zboczu.

— Czy wara nie mówiłem, jak ta wiedźma zrobiła, że zawsze jest zima, a nigdy nie ma Bożego Narodzenia? Czy wam nie mówiłem? A więc chodźcie i zobaczcie sami!

Teraz wszyscy stali już na szczycie i mogli zobaczyć, co tak bardzo ucieszyło pana Bobra.

To rzeczywiście były sanie i to rzeczywiście były reny w uprząży przyozdobionej dzwoneczkami. Były jednak większe od renów Czarownicy i nie białe, lecz brązowe. A na saniach siedziała postać, którą każdy rozpoznał bez trudu, gdy na nią spojrział. Był to rośły mężczyzna w

jaskrawoczerwonym płaszczu z kapturem (tak czerwonym jak jagody ostrokrzewu), z długą siwą brodą, która opadała mu na piersi jak spieniona kaskada. Każdy go od razu rozpoznał, ponieważ — choć osobistości tego typu można spotkać tylko w Narnii — w naszym świecie (w świecie po tej stronie szafy) widzi się go często na obrazkach i wysłuchuje o nim różnych opowieści. Ale oczywiście obrazki to co innego, a żywa postać w Narnii — co innego. Na niektórych obrazkach w naszym świecie Święty Mikołaj wygląda tylko śmiesznie i wesoło. Teraz, kiedy dzieci przed nim stały, mogły stwierdzić, że w rzeczywistości jest zupełnie inny. Był tak wielki, tak miły i tak prawdziwy, że choć czuły wielką radość z tego spotkania, stały onieśmielone i poważne.

— A więc wreszcie jestem! — powiedział. — Długo nie pozwalała mi przybyć, ale wreszcie jestem. Aslan jest już w drodze. Czary więdźmy tracą swą moc.

I Łucja poczuła, jak przebiega przez nią dreszcz najgłębszej radości, jaką można odczuć tylko wtedy, jeśli się jest poważnym i nic się nie mówi.

— A teraz — powiedział Święty Mikołaj — trochę prezentów. Oto nowa i, jak sędzę, o wiele lepsza maszyna do szycia dla pani Bobrowej. Podrzucę ją do waszego domu, jak będę przejeżdżał.

— Dzięki stokrotne, panie — powiedziała pani Bobrowa dygając — ale dom jest zamknięty.

— Zamki i kłódki nie stanowią dla mnie żadnej przeszkody. A teraz pan Bóbr. Po powrocie do domu zostanie pan tamę już ukończoną i naprawioną. Znikną wszelkie przecieki, a będzie za to nowa służa.

Pan Bóbr tak się ucieszył, że tylko otworzył szeroko pysk i nie mógł powiedzieć ani słowa.

— Piotrze, Synu Adama — powiedział Święty Mikołaj.

— Jestem, panie — odpowiedział Piotr.

— To są prezenty dla ciebie. I pamiętaj, że to nie są zabawki. Być może czas, w którym ich użyjesz, nie jest już tak daleki. Niech ci służą.

Mówiąc to, wręczył Piotrowi tarczę i miecz. Tarcza była koloru srebra, z wymalowanym na niej lwem stojącym na tylnych łapach, tak jaskrawoczerwonym jak poziomki, kiedy się je zrywa. Miecz miał złotą rękojeść; była też pochwa i pas, wszystko, co powinno być przy mieczu, a jego rozmiary i waga sprawiały wrażenie, jakby był zrobiony specjalnie dla Piotra. Przyjął te dary w milczeniu i z powagą, ponieważ czuł, że nie jest to zwykły prezent na Boże Narodzenie.

— Zuzanno, Córko Ewy — powiedział Święty Mikołaj — to dla ciebie.

I wręczył jej łuk z kołczanem pełnym strzał oraz mały róg z kości słoniowej.

— Możesz użyć tego łuku tylko w wielkiej potrzebie, bo nie masz brać udziału w bitwie. Ten łuk nie chybia. A kiedy zadmiesz w róg, zawsze, gdziekolwiek będziesz, zjawi się jakaś pomoc. Wreszcie powiedział:

— Łucjo, Córko Ewy. — I Łucja podeszła do niego. Dał jej buteleczkę z czegoś, co wyglądało jak szkło (ale później opowiadano, że była z diamentu) oraz mały sztylet.

— W tej butelce — wyjaśnił — jest lek zrobiony z soku jednego z Ognistych Kwiatów, które rosną w Górach Słońca. Gdyby ktoś z was było ranne, wystarczy kilka kropel z tej buteleczki, a rana zniknie. A ten sztylet jest do obrony własnej, i to tylko w największym niebezpieczeństwie. Ty również nie będziesz brała udziału w bitwie.

— Dlaczego, proszę pana? — zapytała Łucja. — Myślę... no, nie wiem... ale myślę, że byłabym dzielna.

— Nie w tym rzecz — odpowiedział. — Po prostu bitwy nie wyglądają zbyt ładnie, gdy biorą w nich udział kobiety. A tutaj — i nagle przestał być tak poważny jak przedtem — tutaj jest coś dla was wszystkich! — i wyciągnął (z wielkiego worka za plecami, jak przypuszczam, ale nikt tego dokładnie nie widział) wielką tacę z pięcioma filiżankami na spodeczkach, miską cukru w bryłkach,

dzbankiem kremowej śmietanki i wielkim imbrykiem z dymiącą i syczącą herbatą. Potem krzyknął: „Wesołych Świąt! Niech żyje prawdziwy król!” i strzelił z bata, a potem reny i sanie zniknęły na horyzoncie, zanim ktokolwiek zdał sobie sprawę z tego, że ruszyły z miejsca.

Piotr wyjął swój miecz z pochwy i właśnie pokazywał go panu Bobrowi, kiedy pani Bobrowa zawołała:

— Dalej, proszę! Przestańcie tak stać i gadać, aż herbata całkiem wystygnie. Jak to mężczyźni. Chodźcie tu i pomóżcie mi znieść tę tacę na dół. Zrobimy śniadanie. Dzięki Bogu, pomyślałam o tym, żeby zabrać nóż do chleba.

Tak więc zeszli ponownie po zboczach i wpełzli do pieczary, pan Bóbr pokroił trochę chleba i szynki, pani Bobrowa nalala herbaty i wszyscy zaczęli zajadać ze smakiem. Ale na długo przedtem, zanim nacieszyli się śniadaniem, pan Bóbr powiedział:

— A teraz czas już w drogę!

Rozdział 11 ASLAN JEST BLISKO

W TYM SAMYM CZASIE Edmund przeżywał swoje najgorsze chwile. Kiedy karzeł odszedł, aby przygotować sanie do drogi, chłopiec spodziewał się, że Czarownica wreszcie zacznie być dla niego miła, jak obiecywała przy pierwszym spotkaniu. Tymczasem w ogóle się do niego nie odzywała, więc zebrał w sobie całą swą odwagę i powiedział:

— Wasza wysokość, czy mógłbym dostać trochę ptasiego mleczka?

— Ty... ty... zamilknij, ty głupcze! — wrzasnęła królowa, ale po chwili, jakby jej coś przyszło do głowy, powiedziała do siebie: — Nie byłoby jednak dobrze, gdyby ten gamoń zasłabł gdzieś po drodze — i jeszcze raz zaklaskała w dłonie. Natychmiast pojawił się inny karzeł.

— Przynieś temu ludzkiemu pomiotowi coś do jedzenia i picia — rozkazała.

Karzeł zniknął, a za chwilę wrócił, niosąc blaszaną miseczkę z odrobiną wody i blaszany talerz z kawałkiem suchego chleba. Wyszczrzył zęby w odrażający sposób, postawił naczynia na podłodze przed Edmundem i powiedział:

— Ptasie mleczko dla małego księcia. Ha! ha! ha! ha!

— Zabierz to — odpowiedział Edmund nadąsany. — Nie będę jadł suchego chleba.

Ale Czarownica nagle odwróciła się do niego z tak strasznym wyrazem twarzy, że natychmiast przeprosił i zaczął żuć chleb, tak czerstwy, że trudno było go ugryźć.

— Zatęsknisz jeszcze do chleba, zanim go znowu skosztujesz — powiedziała.

Wciąż jeszcze żuł zeschłą kromkę, kiedy wrócił pierwszy karzeł i oznajmił, że sanie są gotowe. Czarownica wstała, rozkazała chłopcu iść za sobą i opuściła komnatę. Kiedy wyszli na dziedziniec, śnieg sypał wciąż gęsto, ale królowa nie zwracała na to uwagi i kazała Edmundowi usiąść w saniach obok siebie. Zanim ruszyli, zawołała Maugrima, który przybiegł natychmiast i oparł się przednimi łapami o burtę sań, jak pies.

— Weź ze sobą najszybszego z twoich wilków, popędźcie zaraz do domu Bobrów i zabijcie każdego, kogo tam znajdziecie. Jeżeli już ich nie będzie, pobiegnijcie do Kamiennego Stołu, ale tak, żeby was nikt nie widział. Ukryjcie się tam i czekajcie na mnie. Muszę w tym czasie zrobić wiele mil na zachód, zanim znajdę dogodne miejsce, by przejechać saniami przez rzekę. Gdyby się

wam udało dogonić ich, zanim dotrą do Kamiennego Stołu, to chyba wiecie, co z nimi zrobić?

— Usłyszałem i jestem posłuszny, o królowo! — warknął wilk i natychmiast skoczył w śnieg i ciemność, tak szybko jak koń wyścigowy. W ciągu kilku minut był już — wraz z drugim wilkiem — przy tamie, węsząc przy domku bobrów. Na szczęście, jak już wiecie, dom był pusty. Gdyby nie padający gęsto śnieg, który zasypał wszystkie ślady, stawiałbym dziesięć do jednego, że wilki dogoniłyby naszą piątkę przed dojściem do kryjówki bobrów.

Tymczasem karzeł zaciął reny batem i sanie śmignęły przez wielką bramę w lodowate zimno i ciemność. Dla Edmunda, który nie miał płaszcza, była to straszna podróż. Zanim minął kwadrans, cały był oblepiony śniegiem. Z początku próbował go strząsać, ale wkrótce dał spokój, ponieważ natychmiast zbierała się nowa warstwa. Bardzo prędko przemókł do suchej nitki. Och, jaki był biedny! Nic nie wskazywało na to, by Czarownica miała zamiar zrobić go królem. Jakże głupio brzmiało teraz to, co sobie przedtem mówił, aby przekonać samego siebie, że jest dobra i miła oraz że opowiadanie się po jej stronie jest wyborem strony właściwej! Oddałby wszystko, aby w tej chwili spotkać innych — nawet Piotra! Aby się zupełnie nie pogrążyć w rozpacz, powtarzał sobie, że musi to być sen, z którego w każdej chwili może się obudzić. I rzeczywiście, gdy tak pędzili w ciemności przed siebie, godzina za godziną, wszystko to coraz bardziej wydawało się złym snem.

Trwało to dłużej, niż mógłbym opisać, gdybym nawet zużył na to p[^]rę tuzinów stronic. Przejść więc od razu do czasu, gdy śnieg przestał padać, nadszedł ranek i jechali teraz w świetle szarego, zimowego dnia. Wciąż pędzili i pędzili przed siebie, w głębokiej ciszy, w której słychać było tylko świst śniegu pod płozami i skrzywienie uprzęży. Nagle Czarownica zawołała:

— Hola! A co to takiego? Zatrzymaj się!

Jakże wielką miał Edmund nadzieję, że Czarownica powie teraz coś o śniadaniu! Ale zatrzymała się zupełnie z innego powodu. Nie opodal, pod drzewem, siedziała sobie przy stole wesoła kompania: para wiewiórek z trojgiem dzieci, dwa satyry, karzeł i lis. Edmund nie mógł dostrzec wyraźnie, co mają do jedzenia, ale pachniało to cudownie. Wydawało mu się, że widzi dekoracje z gałązek świerkowych i coś, co mogło być plackiem ze śliwkami. Kiedy sanie się zatrzymały, lis — który był najwidoczniej najstarszy w towarzystwie — właśnie wstał, trzymając kielich w łapie, jakby zamierzał coś powiedzieć. W tej samej chwili całe towarzystwo zobaczyło sanie i kto w nich siedzi. Radość natychmiast znikła z ich twarzy. Głowa rodziny wiewiórek zamarła z widelcem w powietrzu, a małe wiewiórki zaczęły piszczeć ze strachu.

— Co to wszystko ma znaczyć?! — zapytała królowa. Nikt nie odpowiedział. — Odpowiadajcie, nędzne robaki! A może chcecie, aby mój karzeł rozwiązał wam języki batem? Co ma znaczyć to obżarstwo, to marnotrawstwo czasu, to folgowanie swoim żądom? Skąd macie to wszystko?

— Wasza wysokość raczy wybaczyć — odezwał się wreszcie lis — ale my to wszystko dostaliśmy. I jeżeli mogę się ośmielić... czy wolno mi wznieść toast za najlepsze zdrowie waszej wysokości...

— Kto wam to dał? — krzyknęła Czarownica.

— Śśśświęty Mikołaj — wyjąkał lis.

— Co?! — ryknęła Czarownica, zeskoczyła z sań i zbliżyła się do przerażonych zwierząt. — Nie było go tutaj! Nie mogło go tutaj być! Jak śmiałeś? Ale nie. A więc kłamałeś? No cóż, nawet teraz ci wybaczę.

W tym momencie jedna z małych wiewiórek zupełnie straciła głowę.

— Tak! On skłamał! Skłamał! Skłamał! — zaskrzeczała, tłukąc łyżeczką w stół. Edmund zobaczył, że Czarownica przygryzła wargi tak, że kropelka krwi spłynęła jej po brodzie. Podniosła różdżkę.

— Och, nie! Nie, błagam! — krzyknął Edmund, ale zanim głos zamarł mu w krtani, machnęła różdżką i oto tam, gdzie jeszcze parę chwil temu odbywało się wesołe przyjęcie, były już tylko

kamienne figurki (jedna z kamiennym widelcem zastygłym w połowie drogi do kamiennego pyszczka) siedzące przy kamiennym stole, na którym leżały kamienne talerze i kamienny placek ze śliwkami.

— A to dla ciebie — dodała Czarownica, wymierzając Edmundowi siarczasty policzek, gdy już wsiadła z powrotem do sań. — Niech to cię oduczy proszenia o łaskę dla szpiegów i zdrajców. W drogę!

Po raz pierwszy w tej historii Edmund poczuł żal nad kimś innym niż on sam. Jakże to było smutne pomyśleć o tych małych kamiennych figurkach, siedzących pod drzewem przez całe ciche dni i całe ciemne noce, rok po roku, aż w końcu porośnie je mech, a ich twarze pokruszą się ze starości.

I znowu pędzili przed siebie. Wkrótce jednak Edmund zauważył, że płatki śniegu, biegnące im na spotkanie i oblepiające ubrania, są jakby większe i bardziej mokre. Jednocześnie stwierdził, że nie jest mu już tak strasznie zimno. Pojawiła się mgła. Rzeczywiście, z każdą chwilą robiło się coraz cieplej i coraz bardziej mglisto, a sanie nie mknęły już po śniegu tak chyżo jak dotąd. W pierwszej chwili pomyślał, że reny są już po prostu zmęczone, ale wkrótce zrozumiał, że nie to było prawdziwą przyczyną wolniejszego tempa. Płozy zgrzytały, ślizgały się i podskakiwały, jakby napotykały kamienie, a chociaż karzeł okładał biedne reny batem, zwierzęta biegły coraz wolniej i wolniej. Naokoło rozlegały się dziwne dźwięki, ale hałas, jaki teraz robiły sanie i krzyki karła, przynaglającego reny do biegu, nie pozwalały Edmundowi rozpoznać, co to jest. Nagle sanie zgrzytnęły straszliwie po raz ostatni, gwałtownie w coś uderzyły i zatrzymały się. Dalej nie można już było jechać. Zapanowała cisza i teraz chłopiec mógł już wsłuchać się w owe dziwne dźwięki. Dziwny, słodki, szumiący i świergotliwy szmer — dziwny, a przecież nieobcy, kiedyś już go słyszał — gdyby tylko przypomniał sobie, gdzie! Ależ tak, to szmer płynącej wody! Wszędzie naokoło, choć jeszcze niewidoczne, płynęły strugi i strumienie — świergocące, mrużące, pluskające i bulgoczące, a nawet (w oddali) ryczące. Edmundowi drgnęło coś w sercu (choć nie bardzo wiedział dlaczego), kiedy zdał sobie sprawę z tego, że mróz ustąpił. A jeszcze bliżej słychać było wszędzie klip-klip-klip z gałęzi drzew. I nagle, kiedy wpatrywał się w jedno z drzew, wielka śniegowa czapa zsunęła się z gałęzi i z głośnym pacnięciem spadła na ziemię. Po raz pierwszy, odkąd przybył do Narnii, zobaczył ciemną zieleń jodły. Nie miał jednak czasu, by nasłuchiwać i obserwować te wszystkie zmiany dłużej, gdyż Czarownica powiedziała:

— Przystań się tak gapić! Wyłaź z sań i pomóż mu!

I oczywiście Edmund musiał być posłuszny. Zeskoczył w śnieg — była to teraz mokra breja — i zaczął pomagać karłowi krzątającemu się przy saniach. W końcu udało się im wyciągnąć sanie z błotnistej dziury, w której się zaryły. Znęcając się okrutnie nad renami, karzeł zdołał je zmusić do dalszego biegu. Teraz śnieg już naprawdę topniał w oczach, a wszędzie naokoło zaczęły pojawiać się plamy zielonej trawy. Dopóki nie przyjdzie wam patrzeć na śnieżny świat tak długo jak Edmundowi, dopóty trudno wam będzie wyobrazić sobie ulgę, jaką mu sprawiały te zielone plamy po nie kończącej się bieli. Wtem sanie zatrzymały się ponownie.

— Nie damy rady, wasza wysokość — powiedział karzeł. — Nie możemy jechać saniami przez to błoto.

— A więc będziemy szli pieszo — odpowiedziała Czarownica.

— Nigdy ich nie prześcigniemy, idąc pieszo — burknął karzeł. — Mieli lepszy start.

— Jesteś moim doradcą czy moim niewolnikiem? Rób, co ci każe. Zwiąż temu ludzkiemu pomiotowi ręce na plecach i trzymaj mocno koniec sznura. I weź swój bat. Odetnij uprząż renom, same znajdą drogę z powrotem.

Karzeł posłuchał i za chwilę Edmund był zmuszony iść tak szybko, jak tylko mógł, z rękami zwią-

zanymi na plecach. Co kilka kroków ślizgał się po rozmokłym śniegu, błocie i mokrej trawie, a za każdym razem karzeł miotał pod jego adresem przekleństwa albo nawet chlastał go batem. Czarownica szła za karłem, powtarzając co jakiś czas:

— Szybciej! Szybciej!

Z każdą minutą plamy zielonej trawy robiły się coraz większe, a śniegu było coraz mniej. Z każdą minutą coraz więcej drzew zrzucało swoje śnieżne kożuchy. Wkrótce, gdzie tylko można było okiem sięgnąć, zamiast białych kształtów widniały ciemnozielone jodły albo czarne gałęzie nagich jeszcze dębów, buków i wiązów. Potem biała dotąd mgła zrobiła się złocista, a w końcu rozwiała się zupełnie. Fale cudownego słonecznego światła zalały poszycie puszczy, a nad głowami, między wierzchołkami drzew, zajaśniało błękitne niebo.

Wkrótce zdarzyło się jeszcze więcej cudownych rzeczy.

W pewnym momencie, kiedy doszli do skraju zagajnika srebrnych brzoź, Edmund zobaczył murawę pokrytą wszędzie żółtymi kwiatkami — chelidoniami. Plusk wody stawał się coraz głośniejszy; w końcu musieli się przedostać przez prawdziwy strumień. Rosły nad nim kwitnące przebiśniegi.

— Pilnuj swego nosa! — warknął karzeł i szarpnął sznurem, gdy zobaczył, że Edmund odwrócił głowę, aby na nie spojrzeć.

Ale oczywiście nie mógł mu przeszkodzić w widzeniu tych wszystkich dziwów.

Nie minęło pięć minut, gdy dostrzegł z tuzin złotych, purpurowych i białych krokusów, rosnących wokół jakiegoś starego drzewa. Potem usłyszał dźwięk jeszcze słodszy od pluskania wody. Tuż przy ścieżce, którą szli, zaczął nagle z gałęzi jakiś ptaszek i natychmiast odpowiedział mu trochę dalej drugi. I wówczas, jakby to był sygnał, rozległo się ze wszystkich stron ćwierkanie i świergotanie, a za chwilę cały las rozbrzmiewał śpiewem ptaków, a gdziekolwiek Edmund spojrzał, widział ptaki ulatujące z gałęzi albo szybujące nad głowami, albo ścigające się nawzajem, albo sprzeczące się żartobliwie między sobą, albo układające sobie dzióbkami piórka.

— Szybciej! Szybciej! — poganiała ich Czarownica.

Teraz nie było już ani śladu mgły. Niebo stawało się coraz bardziej błękitne i pojawiły się białe obłoki. Na rozległych polanach wyrastały z trawy pierwiosnki. Powiał lekki wiaterek, zdmuchujący krople soku z kołyszących się gałęzi drzew i przynoszący ze sobą jakieś cudowne, orzeźwiające wonie. Drzewa zaczęły odżywać na dobre. Modrzewie pokrywały się zielenią, szczyty żółte. Wkrótce buki wypuściły delikatne, przezroczyste listki. Kiedy pod nimi szli, światło również pozieleniało. Naokoło bzykały pszczoły, uganiane przez swoje sprawy.

— To nie jest odwilż — powiedział karzeł, nagle zatrzymując się. — To WIOSNA. Co teraz zrobimy? Twoja zima została zniweczona, mówię ci! To robota Aslana.

— Jeżeli któryś z was jeszcze raz wymówi to imię — wycodziła przez zęby Czarownica — to go zabiję bez ostrzeżenia.

Rozdział 12 PIERWSZA WALKA PIOTRA

W TYM SAMYM CZASIE, daleko od miejsca, w którym karzeł i Biała Czarownica prowadzili tę rozmowę, państwo Bobrowie i trójka dzieci zagłębiali się z każdą godziną coraz bardziej w krainę z

cudownego snu. Już dawno rozstali się z płaszczami i zmęczeni już ciągłymi okrzykami w rodzaju: „Patrzcie! Zimorodek!” albo „O! Dzwonki!”, albo „Co tak rozkosznie pachnie?”, albo „Tylko posłuchajcie tego drozda!” Teraz szli w milczeniu, chłonąc w siebie to wszystko, przechodząc przez plamy ciepłego, słonecznego światła, a potem przez chłodne, zielone gąszcze, i znowu przez wyścielone samym mchem wysokopienne lasy, pod zielonym dachem listowia wiązów, potem przez gęste chaszczki dzikich porzeczek i głógów obsypanych kwiatami, gdzie słodki zapach odurzał jak wino.

Jak Edmund, tak i oni zdumiewali się, gdy zobaczyli, że zima nagle ustępuje, a cały las przechodzi w kilka godzin to, co zwykle dzieje się od stycznia do maja. Nie wiedzieli nawet z całą pewnością (o czym wiedziała Czarownica), że wszystko to związane jest z przybyciem do Narnii Aslana. Wiedzieli jednak, że to jej zakłęcie dało ongiś początek nie kończącej się zimie, a stąd łatwo im było wywnioskować, że ta raptowna wiosna oznacza coś bardzo niedobrego dla niej i dla jej planów. Po jakimś czasie zdali sobie też sprawę, że Czarownica nie będzie już mogła posługiwać się saniami. Nie musieli się już tak bardzo spieszyć i pozwalali sobie na częstsze i dłuższe odpoczynki. Byli już oczywiście porządnie zmęczeni, ale wciąż jeszcze mogli iść dalej. Przepęłniała ich senność, ociężałość i dziwny spokój — tak jak się to dzieje, gdy nadchodzi wieczór po długim dniu spędzonym na świeżym powietrzu. Zuzannie zrobił się mały pęcherz na pięcie.

Od pewnego czasu nie wędrowali już z biegiem wielkiej rzeki, ponieważ aby dojść do Kamiennego Stołu, trzeba było skręcić trochę w prawo (czyli na południe). I tak zresztą nie mogliby iść dalej wzdłuż rzeki, którą nagła odwilż zamieniła we wspaniały, grzmiący i ryczący żółty potok, toczący się całą szerokością doliny. Wąska ścieżka, którą uprzednio szli, była już z pewnością pod wodą.

A teraz słońce było już nisko, jego blask poczerwieniał, cienie wydłużyły się, a kwiaty zaczynały myśleć o zamknięciu kielichów.

— Już niedaleko — powiedział pan Bóbr i poprowadził ich w górę zbocza, po miękkim, zapadającym się głęboko mchu, sprawiającym ulgę zmęczonym nogom. Rosły tu tylko pojedyncze, bardzo wysokie drzewa. Ta wspinaczka pod koniec długiej, całodziennej wędrówki porządnie ich wymęczyła. Wszyscy dyszeli ciężko, a Łucja zastanawiała się właśnie poważnie, czy zdoła wejść na tę górę bez jeszcze jednego dłuższego odpoczynku, gdy nagle zorientowała się, że są już na szczycie. I oto, co tam zobaczyli.

Znajdowali się na zielonym, bezdrzewnym płaskowyżu. W dole, jak okiem sięgnąć, rozciągała się puszcza — tylko z jednej strony, na wschodzie, widać było coś innego, coś połyskliwego i ruchliwego.

— Nie do wiary! Przecież to morze! — wyszeptał Piotr do Zuzanny.

A w samym środku zielonej przestrzeni wznosił się Kamienny Stół. Była to olbrzymia płyta z szarego kamienia, wsparta na czterech głazach. Wyglądała na bardzo starą: pokrywały ją dziwne ornamenty i znaki, przywodzące na myśl litery jakiegoś nieznanego alfabetu. Z boku, na zielonej murawie, rozpięto wielki namiot. Był to wspaniały widok — zwłaszcza teraz, gdy prześwietlały go promienie zachodzącego słońca: namiot z żółtego jedwabiu, ze szkarłatnymi wiązaniami i drążkami z kości słoniowej. Nad nim, na wysokim maszcie, pobłyskiwał proporzec z czerwonym lwem wspiętym na dwu łapach, powiewający w bryzie od dalekiego morza, chłodzącej im łagodnie twarze. I kiedy tak stali, urzeczeni tym widokiem, usłyszeli muzykę dochodzącą z prawej strony, a kiedy się obrócili, zobaczyli to, co było celem ich wędrówki.

W środku półkola, utworzonego przez tłum najróżniejszych dziwnych istot, stał Aslan. Były tam nimfy leśne i nimfy wodne (driady i najady, jak je zwa w naszym świecie) z instrumentami przypominającymi harfy: to właśnie spod ich palców płynęła owa słodka muzyka. Były tam

również cztery wielkie centaury; od pasa w dół przypominały rosłe konie używane na angielskich farmach, od pasa w górę — groźne, lecz wspaniale olbrzymy. Był tam również jednorożec, byk z głową mężczyzny, i pelikan, i orzeł, i wielki pies. Tuż obok Aslana stały dwa leopardy; jeden trzymał koronę, drugi sztandar.

Jeżeli chodzi o samego Aslana, to ani dzieci, ani bobry nie wiedziały, co zrobić lub co powiedzieć, kiedy go zobaczyły. Temu, kto nigdy nie był w Narnii, trudno pojąć, że coś może być jednocześnie i dobre, i groźne. A jeśli dzieci nigdy by w to nie uwierzyły, to teraz były wyleczone ze swojej niewiary. Kiedy spojrzały na twarz Aslana, dostrzegły tylko błysk złotej grzywy i jego wielkie, królewskie, poważne i przenikliwe oczy. Trwało to krótko, bo każde z nich zdało sobie szybko sprawę z tego, że nie może patrzeć w te oczy. Ogarnął je dziwny lęk.

— No, dalej — szepnął pan Bóbr.

— Nie — szepnął w odpowiedzi Piotr. — Pan najpierw.

— Nie, Synowie Adama przed zwierzętami — wyszeptał znowu pan Bóbr.

— Zuzanno — Piotr zwrócił się po cichu do siostry — może ty? Panie mają pierwszeństwo.

— Nie, ty jesteś najstarszy — odpowiedziała. I oczywiście im dłużej to trwało, tym bardziej czuli się zmieszani. Wreszcie Piotr zrozumiał, że to jednak jego chwila. Wy dobył miecz z pochwy, podniósł go w geście pozdrowienia, wycedził przez zęby do reszty: „Dalej! Razem naprzód!”, podszedł do Lwa i powiedział:

— Przyszliśmy, Aslanie!

— Witaj, Piotrze, Synu Adama — odpowiedział Aslan. — Witajcie, Zuzanno i Łucjo, Córki Ewy! Witajcie, Bobrowie!

Jego głos był głęboki i bogaty i w jakiś sposób napełnił ich spokojem. Już nie czuli zakłopotania i lęku, kiedy tak stali przed nim i nic nie mówili.

— Ale gdzie jest czwarty? — zapytał Aslan.

— Próbował ich zdradzić i przeszedł na stronę Białej Czarownicy, Aslanie — powiedział pan Bóbr. I wtedy coś kazało Piotrowi powiedzieć:

— To częściowo moja wina, Aslanie. Byłem zły na niego i myślę, że to go popchnęło w nie dobrą stronę.

A Aslan nie powiedział nic, aby Piotra oskarżyć lub potępić, lecz tylko stał, patrząc na niego swoimi wielkimi, nieruchomymi oczami. I wszyscy odczuli, że nie ma tu już nic więcej do powiedzenia.

— Aslanie, proszę cię bardzo — powiedziała nagle Łucja — czy nie można nic uczynić, aby uratować Edmunda?

— Wszystko zostanie uczynione — powiedział Aslan — chociaż może się to okazać cięższe, niż ci się zdaje. — I znowu zamilkł na jakiś czas. Aż do tej chwili wydawał się Łucji przede wszystkim niezwykle królewski, silny i pełen spokoju; teraz pomyślała, że jest również z jakiegoś powodu smutny. Ale w chwilę potem to wrażenie minęło. Lew wstrząsnął grzywą, klasnął w przednie łapy („Cóż to za straszne łapy — pomyślała Łucja — dobrze chociaż, że ma schowane pazury”) i powiedział:

— Ale tymczasem przygotujmy się do uczy. Panie niech zaprowadzą Córki Ewy do namiotu i pomogą im we wszystkim.

Kiedy dziewczynki odeszły, Aslan położył łapę na ramieniu Piotra (pazury miał oczywiście głęboko ukryte, ale chłopiec ugiął się pod jej ciężarem).

— Chodź ze mną, Synu Adama. Pokażę ci z oddali zamek, który będzie twoją królewską siedzibą.

Poszli ku wschodniemu brzegowi szczytu — Piotr wciąż z mieczem w dłoni — skąd rozciągał się

wspaniały widok. Słońce zachodziło za ich plecami i cała kraina u ich stóp zalana była jego czerwonożółtym światłem: lasy, wzgórza, doliny i — wijąca się jak srebrny wąż — wielka rzeka. A daleko, daleko, poza tym wszystkim, było morze, a za morzem niebo pełne różowiejących już obłoków. A tam, gdzie kraina Narnii graniczyła z morzem, u ujścia wielkiej rzeki, jaśniało coś złociście na niewielkim wzgórzu. Był to zamek, a blask pochodził z odbicia promieni słonecznych w jego oknach, lecz Piotrowi wydało się, że to wielka gwiazda, spoczywająca na morskim brzegu.

— Oto, Synu Adama — odezwał się Aslan — Ker-Paravel czterech tronów. Na jednym z nich ty masz zasiąść jako król. Pokazuję ci to, bo jesteś pierworodnym z całego rodzeństwa i jako ten będziesz Wielkim Królem, władcą nad innymi.

I tym razem Piotr nic na to nie odpowiedział, ponieważ nagle rozległ się dziwny głos przypominający dźwięk trąbki, choć o wiele od niego bogatszy.

— To róg twojej siostry — powiedział Aslan niskim głosem, tak niskim, że można by go właściwie nazwać mruzeniem, jeśliby to nie miało oznaczać braku szacunku wobec Lwa.

W pierwszej chwili Piotr nie zrozumiał, o co chodzi. Potem, gdy zobaczył innych, biegnących ze wszystkich stron, i usłyszał ryk Aslana: „Do tyłu! Niech księżę zdobędzie swe ostrogi!”, wreszcie zrozumiał i zaczął biec, jak tylko mógł najszybciej, do namiotu. A tam zobaczył straszną scenę.

Najady i driady rozpierzchły się we wszystkie strony. Łucja biegła ku niemu, ile tylko miała sił w krótkich nóżkach, a jej twarz była biała jak papier. Potem zobaczył Zuzannę, jak wyskakuje z namiotu, biegnie do najbliższego drzewa, chwyta się jednej z niższych gałęzi i podciąga do góry. Za nią pędziła jakaś olbrzymia szara bestia. Najpierw wydawało mu się, że to niedźwiedź. Potem stwierdził, że zwierzę przypomina bardziej owczarka alzackiego, tyle że było o wiele za duże jak na psa. Wreszcie zrozumiał, że to wilk, stojący już teraz na dwu łapach, przednimi oparty o pień drzewa, warczący i kłapiący zębami, z sierścią zjeżoną na karku. Jedna ze stóp Zuzanny zwisała za ledwie o kilkanaście centymetrów od jego rozwartej paszczy. Piotr zastanawiał się przez moment, dlaczego jego siostra nie wspina się wyżej lub przynajmniej nie podciągnie nóg, zaraz jednak zrozumiał, że była bliska omdlenia. Oznaczało to, że za chwilę spadnie — prosto na tę wściekłą bestię.

Piotr nie czuł się wcale mężnie; zrobiło mu się słabo. Nie mogło to jednak mieć żadnego wpływu na to, co musiał zrobić. Natarł na potwora mieczem i wymierzył cios w jego bok. Ale uderzenie nie dosięgło wilka. Jak szara błyskawica okręcił się wokół siebie, przez moment zamarł w bezruchu, wpatrując się w chłopca płonącymi ślepiami, i rozwarł paszczę w ryku wściekłości. Gdyby wilk nie był tak rozwścieczony, że przed atakiem po prostu musiał wydać z siebie ów ryk, to z pewnością schwyciłby Piotra za gardło w sekundę po chybionym ciosie. Ale teraz — choć wszystko to stało się zbyt prędko, by Piotr miał czas o tym pomyśleć — chłopiec mógł zrobić szybki unik, a następnie z całej siły wbić miecz między przednie łapy bestii. To, co działo się później, przypominało kilka chwil z jakiegoś koszmarnego snu. Czuł potężne szarpnięcie i napór szarego cielska, nie wiedział, czy wilk jest żywy, czy martwy. Widział jego lśniące kły tuż przed swoją twarzą, w końcu wszystko zamieniło się w krew, sierść i gorąco. W chwilę później potwór leżał martwy u jego stóp. Piotr wyciągnął z niego miecz, wyprostował się i otarł pot z twarzy. Poczuł straszliwe zmęczenie.

A potem Zuzanna zeskoczyła z drzewa i padła mu w objęcia. Nie wstyd przyznać, że teraz obojgu trzęsły się nogi i że nie zabrakło pocałunków i łez. Ale w Narnii nikt nie myślał o tym gorzej od was.

— Szybko! Szybko! — zagrzmiął głos Aslana. — Centaury! Orły! Widzę drugiego wilka w zaroślach. O tam — za wami! Właśnie ucieka! Wszyscy za nim! Ucieknie do swojej pani. Teraz wy

macie szansę odnaleźć Czarownicę i uwolnić czwartego Syna Adama.

I oto nagle, z hukiem kopyt i łopotem skrzydeł, około tuzina najszybszych istot znikło w gęstniejących ciemnościach. Piotr, wciąż jeszcze ciężko dysząc, odwrócił się i zobaczył Aslana tuż obok siebie.

— Zapomniałeś oczyścić swój miecz — powiedział Aslan.

Była to prawda. Piotr wzdrygnął się, gdy spojrział na białą klingę i zobaczył, że cała powalana jest krwią i sierścią. Schylił się i wytarł ją do czysta o trawę, a potem jeszcze o swój płaszcz.

— A teraz daj mi swój miecz i uklęknij, Synu Adama — rzekł Aslan.

I kiedy Piotr to uczynił, Lew uderzył go płaską stroną klingi w ramię i powiedział:

— Powstań, Piotrze, Pogromco Wilka. A odtąd — cokolwiek się stanie — nigdy nie zapominaj o wytarciu swego miecza.

Rozdział 13

WIELKIE CZARY Z ZAMIERZCHŁYCH CZASÓW

A TERAZ MUSIMY WRÓCIĆ DO EDMUNDA. Nigdy przedtem nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek mógł wytrzymać tak długą wędrówkę, do jakiej go teraz zmuszono. Wreszcie Czarownica zatrzymała się w jakimś mrocznym wąwozie ocienionym jodłami i cisami, a chłopiec upadł po prostu twarzą na ziemię i leżał tak, nie myśląc już o tym, co będzie dalej, byleby tylko pozwolono mu nie ruszać się z miejsca. Był tak zmęczony, że zapomniał nawet o głodzie i pragnieniu. Opodał niego Czarownica i karzeł rozmawiali przyciszonymi głosami.

— Nie — powiedział karzeł — to się już nie uda, królowo. Teraz są już na pewno przy Kamiennym Stole.

— Może wilk zwietrzy nas i przyniesie nam wiadomości.

— Obawiam się, że nie będą to dobre wiadomości, nawet gdyby nas odnalazł.

— Na Ker-Paravelu są cztery trony — powiedziała Czarownica. — A więc, jeśli tylko trzy zostaną zajęte, przepowiednia się nie spełni.

— Cóż to ma za znaczenie, odkąd ON jest tutaj? — odpowiedział karzeł. Nawet teraz nie ośmielił się przed swą panią nazwać Aslana po imieniu.

— Nie zostanie tu długo. A potem napadniemy na tych w Ker.

— A czy nie byłoby lepiej — wtrącił karzeł — trzymać tego tu — i kopnąć Edmunda — na przetarg?

— Tak! I dać im go odbić! — zauważyła zgryźliwie Czarownica.

— A więc zróbmy lepiej od razu to, co mamy zrobić.

— Chciałabym to zrobić na Kamiennym Stole. To jest właściwe miejsce. Tam to zawsze robiono.

— Upłynie jeszcze wiele czasu, zanim będziemy mogli składać krwawe ofiary na Kamiennym Stole.

— Masz rację — powiedziała Czarownica, a po chwili dodała: — Tak, musimy to zrobić.

I w tym momencie z gardłowym skowytym wpadł między nich wilk.

— Widziałem ich. Są wszyscy przy Kamiennym Stole — razem z NIM. Zabili mojego kapitana, Maugrima. Schowałem się w krzakach i wszystko widziałem. Zabił go jeden z Synów Adama. Uciekajmy! Uciekajmy!

— Nie — powiedziała Czarownica. — Nie ma potrzeby uciekać. Biegnij i zwołaj wszystkich naszych poddanych. Niech przybędą tu tak szybko, jak potrafią. Wezwij olbrzymów i wilkołaki, i duchy tych drzew, które są po naszej stronie. Wezwij ghule i upiory, ogry i minotaury. Wezwij srożyce, wiedźmy, widma i lud spod muchomorów. Będziemy walczyć. Cóż to? Czyżbym już nie miała swojej różdżki? Czy nie wiesz, że zamienię ich szeregi w kamień, nawet jeśli nas zaatakują? Ruszaj szybko, mam tu pewną rzecz do załatwienia.

Wielka bestia pochyliła krótko łeb, odwróciła się i odbiegła wielkimi susami.

— A więc — powiedziała Czarownica — nie mamy stołu. Niech no się rozejrzę. Lepiej będzie przywiązać go do drzewa.

Edmund został brutalnie postawiony na nogi. Karzeł przycisnął go do pnia drzewa i mocno przywiązał. Chłopiec zobaczył, że Czarownica zrzuca swój płaszcz. Jej ramiona były przeraźliwie białe — tak białe, że widział je dobrze w mrocznym cieniu, choć nie mógł już dostrzec niczego więcej.

— Przygotuj ofiarę — rozkazała Czarownica. Karzeł rozpiął mu kołnierz i zebrał koszulę na karku. Potem chwycił go za włosy i odchylił mu głowę w tył. I wtedy Edmund usłyszał dziwny dźwięk: uiiiizzzz — uiiiizzzz — uiiiizzzz. W pierwszej chwili nie wiedział, co ten dźwięk oznacza. Potem zrozumiał. Był to odgłos ostrzenia noża.

I niemal w tej samej chwili usłyszał ze wszystkich stron głośnie krzyki — tętent kopyt i łopot skrzydeł — jęk Czarownicy — zamieszanie wokoło. Potem poczuł, że ktoś go odwiązuje. Otoczyły go czyjeś silne ramiona i usłyszał mocne, ale przyjemne głosy:

— Połóżcie go na trawie — dajcie mu trochę wina — wypij to teraz — leż spokojnie — przyjdiesz do siebie w ciągu minuty.

Potem głosy zwracały się już nie do niego, lecz rozmawiały między sobą:

— Kto złapał Czarownicę? — Myślałem, że ty.

— Nie widziałem jej, odkąd wytrąciłem jej nóż z ręki.

— Gonilem karła. — Czy to znaczy, że uciekła? — Trudno się od razu połapać. — Co to jest? — Och, nie, nie, to tylko stary pniak.

Ale w tym momencie Edmund przestał słyszeć cokolwiek, gdyż zemdlał ze strachu i wyczerpania.

Centaury, jednorożce, jelenie i ptaki (była to oczywiście owa grupa pościgowa, wysłana przez Aslana za wilkiem przy końcu poprzedniego rozdziału) wyruszyły w drogę powrotną, unosząc chłopca ze sobą. Gdyby jednak wiedziały, co stało się w wąwozie, który opuściły!

W wąwozie zapanowała głęboka cisza. Nagle zaświecił księżyc i gdybyście tam byli, zobaczylibyście, jak jego światło pada na stary pniak i sporych rozmiarów głaz. Ale gdybyście patrzyli dłużej, musiałyby wam przyjść do głowy, że jest coś dziwnego w tym pniaku i w tym głazie. A potem zaczęlibyście się zastanawiać, czy ten pniak nie przypomina czasem małego, grubego człowieka przycupniętego przy ziemi. A gdybyście obserwowali dość długo, zobaczylibyście, jak pniak wędruje sobie do głazu, a głaz podnosi się i zaczyna rozmawiać z pniakiem. Bo w rzeczywistości pniak był karłem, a głaz Czarownicą. Była to jedna z jej magicznych sztuczek, dzięki której mogła sprawiać, że różne rzeczy zmieniały swój wygląd. Uczyniła to wtedy, kiedy wytrącono jej nóż z ręki. Nie wypuściła jednak swojej różdżki.

Kiedy pozostałe dzieci obudziły się następnego ranka (spały na stosach poduszek w wielkim namiocie), pierwszą rzeczą, o jakiej się dowiedziały (od pani Bobrowej), było to, że w nocy ich brat został odbity i przyniesiony do obozu; teraz rozmawia z nim Aslan. Gdy tylko zjadły śniadanie, wyszły na zewnątrz i zobaczyły Aslana spacerującego z Edmundem po mokrej od rosy trawie, z dala od reszty dworu. Nie sądzę, abym musiał wam opowiadać, co mu Aslan powiedział (nikt tego zresztą nie

słyszał), ale była to w każdym razie rozmowa, której Edmund nigdy nie zapomni. Kiedy dzieci zbliżyły się, Aslan zwrócił się w ich stronę i popchnął ku nim Edmunda.

— Oto wasz brat. Nie ma już potrzeby wracać do tego, co było.

Edmund uściskał każdemu rękę i każdemu powiedział: „Bardzo mi przykro”, i każdy odpowiedział: „Już wszystko w porządku”. A potem każdy chciał powiedzieć coś takiego, po czym byłoby już zupełnie jasne, że znowu jest ich przyjacielem — coś prostego i naturalnego — i oczywiście nikt nie mógł czegoś takiego wymyślić. Ale zanim zdążyło to ich wprawić w kompletne zmieszanie, jeden z leopardów zbliżył się do Aslana i powiedział:

— Miłościwy panie, przybył poseł wroga i prosi o posłuchanie.

— Niech się zbliży — odpowiedział Aslan. Leopard odszedł i wkrótce powrócił, prowadząc karła Czarownicy.

— Co masz nam do powiedzenia, Synu Ziemi? — zapytał Aslan.

— Królowa Narnii i Cesarzowa Samotnych Wysp pragnie tu przybyć i odbyć z tobą rozmowę na temat, który jest przedmiotem zainteresowania obu stron; w związku z tym żąda, byś zapewnił jej na ten czas nietykalność.

— Królowa Narnii, dobre sobie! — wtrącił pan Bóbr. — Te wszystkie bezczelne...

— Spokój, Bobrze! — powiedział Aslan. — Już niedługo wszystkie imiona i tytuły zostaną zwrócone ich prawowitym właścicielom. Na razie nie będziemy o tym rozmawiać. Powiedz swojej pani, Synu Ziemi, że przyrzekam jej bezpieczeństwo, pod warunkiem że zostawi swoją różdżkę pod tamtym dębem.

Karzeł zgodził się i dwa leopardy poszły razem z nim do Białej Czarownicy, aby upewnić się, że warunek zostanie spełniony.

— Ale czy ona przypadkiem nie zamieni ich w posagi? — szepnęła Łucja do Piotra. Myślę, że to samo przyszło do głowy i leopardom; w każdym razie kroczyły ostrożnie, z najeżoną sierścią i napuszonymi ogonami — jak koty, które zobaczyły obcego psa.

— Nic im się nie stanie — odpowiedział również szeptem Piotr. — Gdyby im coś groziło, toby Aslam ich nie wysłał.

W kilka minut później sama Czarownica pojawiła się na szczycie wzgórza, przeszła przez otwartą przestrzeń i stanęła przed Aslanem. Na widok jej twarzy ciarki przebiegły po plecach trójce dzieci, które zobaczyły ją po raz pierwszy. Dało się również słyszeć stłumiony pomruk wśród wszystkich zwierząt. Pomimo pełnego słońca wszystkich przeszył chłód. Tylko dwie osoby pozostały niewzruszone: Aslan i sama Czarownica. Było coś niesamowitego w widoku tych dwu twarzy, złotej i martwobiałej, tak blisko siebie. Ale — jak nie omieszkał zauważyć pan Bóbr — Czarownica nie patrzyła Aslanowi w oczy.

— Masz tu zdrajcę, Aslanie — powiedziała. Nikt nie miał wątpliwości, że chodzi o Edmunda. Ale Edmund miał już poza sobą poważne przemyślenie swojego postępowania po tym wszystkim, co przeszedł, i po porannej rozmowie z Aslanem. Teraz nie odrywał od niego oczu. Nie obchodziło go wcale, o czym mówi Czarownica.

— No cóż — odrzekł Aslan — nie ciebie zdradził.

— Czyżbyś zapomniał o Wielkich Czarach? — zapytała.

— Powiedzmy, że zapomniałem — odpowiedział Aslan chłodno. — Opowiedz nam o Wielkich Czarach.

— Opowiedzieć ci? — głos Czarownicy przeszedł nagle w pisk. — Opowiedzieć ci, co jest wyryte na głębokość ostrza włóczni na krzemienych głazach Tajemnego Wzgórza? Powiedzieć ci, co jest napisane na berle Władcy-Zza-Morza? Znasz przecież Prawo, które Władca ustanowił w Narnii na

samym początku. Wiesz, że każdy zdrajca do mnie należy jako moja prawowita zdobycz i że za każdą zdradę mam prawo zabić.

— Ach — wtrącił pan Bóbr — więc to DLATEGO wyobrażasz sobie, że jesteś królową, ponieważ jesteś katem Władcy... Rozumiem.

— Spokój, Bobrze! — powiedział Aslan, a słowem tym towarzyszył cichy, lecz groźny pomruk.

— Tak więc — ciągnęła Czarownica — to ludzkie stworzenie do mnie należy. Jego życie jest w moich rękach. Jego krew jest moją własnością.

— Więc chodź i spróbuj go wziąć — zaryczał jeden z byków o ludzkiej głowie.

— Głupcze! — warknęła Czarownica z okrutnym uśmiechem. — Czy myślisz, że twój pan może mi siłą wydrzeć moje prawa? On dobrze zna Wielkie Czary. Wie, że jeśli nie dostanę tej krwi, jak nakazuje Prawo, to cała Narnia zapadnie się i zniknie w ogniu i wodzie.

— To prawda — powiedział Aslan. — Nie zaprzeczam temu.

— Och, Aslanie! — szepnęła Zuzanna do jego ucha. — Czy nie możemy... to znaczy, czy ty nie możesz... możesz, prawda? Możesz coś zrobić z tymi Wielkimi Czarami? Czy nie ma nic takiego, co by można przeciw nim zrobić?

— Zrobić coś przeciw Czarom Władcy? — zapytał Aslan i odwrócił się do niej z dziwnym, jakby nieco groźnym wyrazem twarzy. I nikt już nie wspomniał nic więcej na ten temat.

Edmund stał po drugiej stronie, wpatrując się w niego przez cały czas. Czuł, że coś dławi go w gardle, a jednocześnie zastanawiał się gorączkowo, czy nie powinien się odezwać. Zaraz jednak wyczuł, że nie oczekiwano od niego niczego więcej poza milczeniem i zrobieniem tego, co mu powiedzą.

— Cofnijcie się wszyscy! — zawołał Aslan. — Chcę porozmawiać z Czarownicą sam na sam.

Wszyscy posłuchali. Był to straszny okres oczekiwania, podczas gdy Lew i Czarownica rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami, z wielką powagą na twarzach. Łucja krzyknęła cicho: „Och, Edmundzie!” i rozplakała się. Piotr odwrócił się do wszystkich plecami i wpatrywał się w odległe morze. Bobry stały obok siebie ze zwieszonymi głowami, trzymając się za łapy. Centaury przebierały niespokojnie kopytami. Ale w końcu zapanowała głęboka cisza, tak że można było usłyszeć buczenie przelatującego trzmiela, śpiew ptaków w lasach na zboczach wzgórza i szelest liści na wietrze. Rozmowa wciąż trwała. Wreszcie usłyszeli głos Aslana.

— Możecie wszyscy wrócić! Sprawa została załatwiona. Ona zrzekła się roszczeń do krwi waszego brata. — I po całym wzgórzu rozległ się taki odgłos, jakby przedtem wszyscy wstrzymali oddechy, a teraz jednocześnie wypuścili powietrze z płuc. Potem dał się słyszeć szmer przyciszonych rozmów.

Na twarzy Czarownicy malował się okrutny triumf. Zamierzała już odejść, lecz w ostatniej chwili odwróciła się raz jeszcze i powiedziała:

— Jaką mogę jednak mieć pewność, że twoja obietnica zostanie spełniona?

— Rrrrrroouughhh! — zaryczał Aslan, podnosząc się ze swojego tronu; jego wielka paszcza otwierała się coraz szerzej i szerzej, a ryk był coraz bardziej i bardziej potężny, aż Czarownica, popatrzawszy przez chwilę na tę rozwartą paszczę, zebrała suknię ręką i uciekła ze wzgórza, w obawie o swe życie.

GDY TYLKO CZAROWNICA ODESZŁA, Aslan powiedział:

— Musimy natychmiast opuścić to miejsce. Będzie potrzebne do innych celów. Dziś wieczór rozbijemy obóz przy Brodzie Beruny.

Oczywiście każdy umierał z ciekawości, jak zakończyła się rozmowa z Czarownicą, ale jego twarz była surowa, a wszyscy mieli jeszcze w uszach dźwięk straszego ryku, tak że nikt nie śmiał o to pytać.

Po posiłku, który zjedzono pod gołym niebem, na szczycie wzgórza (słońce przygrzewało już teraz mocno i trawa obeschła), zajęto się zwijaniem namiotu i pakowaniem rzeczy. W dwie godziny po południu maszerowali już, kierując się na północny wschód. Ponieważ odległość od celu nie była zbyt wielka, nie musieli się spieszyć.

Na początku wędrówki Aslan wyjaśnił Piotrowi swój plan strategiczny. „Jest prawie pewne, że jak tylko Czarownica załatwi swoje sprawy w tej okolicy, powróci do zamku i przygotuje się do oblężenia. Nie wiadomo, czy uda ci się przeciąć jej drogę i udaremnić ten zamiar”. Potem nakreślił dwa plany bitwy: jeden, gdyby przyszło im walczyć w lesie, drugi, gdyby doszło do oblężenia zamku. Mówiąc o szczegółach obu planów, doradzał Piotrowi, jak ma przeprowadzić operacje wojskowe, na przykład: „Musisz ustawić centaury tu i tu” albo: „Musisz wysłać zwiadowców, żeby się dowiedzieć, czy ona nie zrobiła tego i tego”, aż w końcu Piotr zauważył:

— Ale przecież ty sam z nami będziesz...

— Nie mogę ci tego obiecać — odpowiedział Lew i dalej udzielał mu instrukcji.

W drugiej części marszu osobami, które towarzyszyły mu najbliżej, były Zuzanna i Łucja. Nie mówił jednak wiele i wydawał się czymś przygnębiony.

Było jeszcze jasno, kiedy doszli do miejsca, w którym dolina otworzyła się, a rzeka była szeroka i płytka. Był to Bród Beruny i Aslan wydał rozkaz, aby zatrzymać się po tej stronie rzeki.

— Czy nie byłoby lepiej — zauważył Piotr — rozbić obóz po tamtej stronie, aby nas nie zaatakowano w nocy?

Aslan, który wydawał się myśleć o czymś innym, podniósł się, potrząsnął swą wspaniałą grzywą i powiedział:

— Co takiego?

Piotr powtórzył swoją propozycję.

— Nie — odpowiedział Aslan bezbarwnym głosem, jakby cała sprawa niewiele go już obchodziła.

— Nie, ona nie zaatakuje nas w nocy.

I westchnął głęboko. Zaraz jednak dodał:

— Niemniej dobrze to było pomyślane. Tak właśnie powinien myśleć żołnierz. Ale to już nie ma większego znaczenia.

Tak więc zabrali się do rozbijania obozu. Tego wieczora wszystkim udzielił się dziwny nastrój Aslana. Piotr nie mógł się oswoić z myślą, że być może przyjdzie mu poprowadzić walkę i że wielkiego Lwa może zabraknąć w oczekującej ich bitwie. Jedli wieczorny posiłek w milczeniu czując, że wydarzyło się coś, co zupełnie zmieniło sytuację. Było tak, jak gdyby dobre czasy niespodziewanie się kończyły, choć tak niedawno dopiero się zaczęły.

Ten nastrój długo nie pozwalał Łucji zasnąć. Próbowwała liczyć barany i przewracała się na posłaniu, aż usłyszała głębokie westchnienie Zuzanny i poczuła, że siostra również przewraca się z boku na bok w ciemności.

— Ty też nie możesz zasnąć? — zapytała Zuzanna.

— Nie mogę — odpowiedziała Łucja. — Myślałam, że już śpisz. Słuchaj, Zuzanno...

— Co?...

— Mam takie okropne uczucie... jakby coś nad nami wisiało.

— Tak?... Bo widzisz, ja też coś takiego czuję.

— To się wiąże z Aslanem — dodała Łucja. — Wydaje mi się, że albo z nim ma się stać coś strasznego, albo on sam zamierza zrobić coś strasznego.

— Coś niedobrego działo się z nim przez całe popołudnie. Słuchaj, Łusiu, dlaczego on powiedział, że nie może być z nami w bitwie? Chyba nie myślisz, że mógłby tej nocy uciec i zostawić nas samych?

— A gdzie on teraz jest? Tutaj w namiocie?

— Chyba nie.

— Zuzanno! Wyjdźmy na dwór i rozejrzyjmy się. Musimy się z nim zobaczyć.

— Dobrze, chodźmy. I tak nie możemy zasnąć.

Ostrożnie, żeby nie zbudzić śpiących, znalazły drogę do wyjścia i wyczołgały się z namiotu. Księżyc świecił jasno i w głębokiej ciszy słychać było tylko plusk wody, rozbijającej się o kamienie. Nagle Zuzanna złapała Łucję za ramię i szepnęła: „Spójrz!” Na dalekim skraju obozowiska, tam gdzie zaczynały się już drzewa, zobaczyły Lwa, odchodzącego powoli w stronę lasu. Bez słowa podążyły za nim.

Aslan szedł najpierw w górę zbocza, oddalając się od rzeki, potem skręcił nieco w prawo, idąc najwyraźniej tą drogą, którą tego popołudnia przybyli ze Wzgórza Kamiennego Stołu. Szedł i szedł, to zagłębiając się w gęsty cień drzew i zarośli, to krocząc w jasnej poświacie księżyca. Wyglądał zupełnie inaczej niż wielki Aslan, którego dotąd znały. Ogon i łeb zwisały mu ciężko, łapy miał zmoczone rosą, posuwał się wolno, jakby był bardzo, bardzo zmęczony. I nagle, na rozległej polanie, gdzie brakowało cienia, w którym mogłyby się ukryć, zatrzymał się i rozejrzał wokół. Ucieczka nie miała już sensu, więc poszły w jego kierunku. Kiedy były blisko, usłyszały jego głos:

— Och, dzieci, dzieci, czemu za mną idziecie?

— Nie mogłyśmy zasnąć — odpowiedziała Łucja i nagle poczuła, że nie ma potrzeby już nic więcej mówić, że Aslan dobrze wie, o czym myślały.

— Pozwól nam iść ze sobą... gdziekolwiek idziesz — powiedziała Zuzanna.

— No cóż — zaczął Aslan i wyglądało na to, że się zastanawia. Potem powiedział: — Tej nocy miła mi będzie czyjaś bliskość. Tak, możecie ze mną iść, jeśli mi przyrzekniecie, że zatrzymacie się, kiedy wam powiem, i pozwolicie mi iść już dalej samemu.

— Och, dziękujemy ci, dziękujemy, Aslanie. Zrobimy tak, jak zechcesz — odpowiedziały dziewczynki.

Poszły więc dalej razem — każda z siostr po jednej stronie Lwa. Jakże jednak wolno szedł! A jego wielka, królewska głowa zwieszała się tak nisko, że nos prawie dotykał trawy. Po chwili wzdrygnął się i wydał z siebie głuchy jęk.

— Aslanie! Kochany Aslanie! — zawołała Łucja. — Czy stało się coś złego? Czy nie możesz nam powiedzieć?

— Może jesteś chory, Aslanie? — zapytała Zuzanna.

— Nie — odpowiedział Aslan. — Czuję się smutny i osamotniony. Połóżcie ręce na mojej grzywie, żebym czuł, że tu jesteście, i idźmy tak dalej.

I dziewczynki zrobiły to, czego nigdy nie śmiałyby zrobić bez jego zachęty, a o czym marzyły od pierwszej chwili, gdy go spotkały: zanurzyły swoje zimne rączki we wspaniałej gęstwinie jego grzywy i trzymając się jej, szły dalej blisko niego. Wkrótce stwierdziły, że idą pod górę, po zboczu

wzgórza, na którym stał Kamienny Stół. Kiedy doszli do ostatniego drzewa (pod którym rosły jakieś krzaki), Aslan zatrzymał się i powiedział:

— Och, dzieci, dzieci... Tutaj musicie pozostać. A cokolwiek się wydarzy, nie pozwólcie, aby was zauważono. Zegnajcie.

I obie dziewczynki zapłakały gorzko (choć właściwie nie wiedziały dlaczego) i przytuliły się do Lwa, i ucałowały jego grzywę, jego nos, jego łapy i jego wielkie, smutne oczy. Potem odwrócił się od nich i wszedł samotnie na szczyt wzgórza. A Łucja i Zuzanna, przycupnąwszy w krzakach, patrzyły za nim — i oto, co zobaczyły.

Naokoło Kamiennego Stołu zebrał się wielki tłum, a chociaż księżyc świecił jasno, wielu trzymało pochodnie, których złowrogie, czerwone płomienie otaczały kłęby czarnego dymu. Ach, cóż to była za zgraja! Ogry z wielkimi zębami, wilki i wilkołaki, duchy złych drzew i trujących roślin i wiele innych potworów, których nie będę opisywał, bo gdybym to zrobił, dorodzi nie pozwoliliby wam czytać tej książki — srożyce, wiedźmy i zmory, widma, strachy, ifryty, karły, orki, wampiry i harpie. Zebrawali się tu rzeczywiście wszyscy, którzy stali po stronie Czarownicy i których wilk zwołał na jej rozkaz. A pośrodku, przy Kamiennym Stole, stała sama Czarownica.

Szwargot i skowyt przerażenia rozległy się na wzgórzu, gdy zgraja potworów zobaczyła wielkiego Lwa kroczącego w ich kierunku, i przez moment wydawało się, że nawet Czarownica uległa fali strachu. Szybko jednak opanowała się i wybuchnęła dzikim śmiechem.

— Głupiec! — wykrzyknęła. — Przyszedł głupiec. Zwiążcie go mocno!

Łucja i Zuzanna wstrzymały oddech w oczekiwaniu na ryk Aslana i jego skok na wrogów. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Cztery wiedźmy, szczerząc zęby i łypiąc złośliwie oczami, zaczęły się zbliżać do niego, ociągając się trochę ze strachu.

— Powiedziałam, związać go! — powtórzyła Biała Czarownica.

Wiedźmy rzuciły się na Lwa i zawyły z triumfu, gdy stwierdziły, że nie stawia żadnego oporu. Potem inni — karły i małpoludy — ruszyli, aby im pomóc. Wkrótce przewrócili potężnego Lwa na grzbiet i związali mu mocno wszystkie cztery łapy razem, wrzeszcząc i pokrzykując, jakby dokonali nie lada wyczynu, chociaż — gdyby tylko zechciał — wystarczyłaby jedna z tych potężnych łap, aby ich wszystkich uśmiercić. Ale Lew był nadal spokojny, nawet wówczas, gdy jego wrogowie, miotając się i szarpiąc sznurami, zaciągnęli węzły tak mocno, że wpiły się w żywe ciało. Potem zaczęli go wlec w stronę Kamiennego Stołu.

— Zatrzymajcie się! — rozkazała Czarownica. — Trzeba go najpierw ogolić.

I znowu ryk szyderczego śmiechu zagrzmiął nad tłumem jej poddanych, gdy jeden z ogrów wysunął się do przodu z nożycami do strzyżenia owiec w rękę i nachylił się nad głową Aslana. Rozległ się szybki zgrzyt nożyc i masy wijącego się złota zaczęły spadać na ziemię. Wreszcie ogr podniósł się, a dziewczynki, obserwujące to wszystko z ukrycia, zobaczyły głowę Aslana — małą i zmienioną nie do poznania bez grzywy. Wrogowie również zauważyli tę różnicę. Ktoś wykrzyknął:

— Patrzcie, przecież to jest tylko wielki kot!

— Czy to jest TO, czego się tak baliśmy? — odezwał się drugi głos.

I wszyscy otoczyli go ciasnym kołem, szycząc z niego i nawołując: „Kici, kici, kici, biedna kicia” i „Ile myszek dzisiaj złapałeś, kotku?”, i „Chciałbyś dostać spodeczek mleka, kocurku?”

— Och, jak oni MOGA? — wykrztusiła Łucja, a łzy spływały jej po policzkach. — Wstrętne bestie! Bestie! — Teraz, kiedy minął już pierwszy szok, nagi łeb Aslana wydawał się jeszcze bardziej męzny, bardziej piękny i bardziej spokojny niż kiedykolwiek.

— Nałóżcie mu kaganiec! — rozkazała Czarownica. I nawet teraz, gdy nakładano mu kaganiec, tylko jedno kłapanięcie jego paszczy kosztowałoby utratę rąk dwu lub trzech wrogów. Ale się nie

poruszył, co zdawało się jeszcze bardziej rozwścieczać tę hałastrę. Teraz otoczyli go wszyscy. Ci, którzy uprzednio bali się do niego zbliżyć nawet wówczas, gdy już był związany, teraz nabrali odwagi. Przez kilka minut dziewczynki przestały go widzieć — tak gęsto był otoczony tłumem potworów, które go kopały, biły, opluwały i wydrwiwały.

W końcu mieli już dosyć. Teraz zaczęli go ciągnąć do Kamiennego Stołu. Jedni popychali go, inni ciągnęli; wreszcie z najwyższym trudem udało im się umieścić olbrzymie cielsko na kamiennej płycie. Jeszcze raz zaciśnięto stare więzy i dodano nowe.

— Tchórze! Podłe tchórze! — łkała Zuzanna. — Czyżby WCIAŻ się go bali, nawet teraz?

Kiedy już Aslan leżał na płaskiej powierzchni kamiennej płyty (związany tak, że ledwo go było widać spod płataniny sznurów), tłum uciszył się. Cztery wiedźmy stanęły przy czterech rogach Stołu z płonącymi pochodniami w rękach. Czarownica zrzuciła płaszcz, obnażając ramiona, jak to uczyniła wówczas, gdy ofiarą miał być Edmund. Potem zaczęła ostrzyć nóż. Blask pochodni padł na klingę i dziewczynkom wydało się, że nie jest to nóż ze stali, lecz z krzemienia; miał dziwny i złowrogi kształt.

W końcu zbliżyła się do Stołu. Stała teraz tuż przy głowie Aslana. Jej twarz wykrzywił grymas złej namiętności — jego była wciąż spokojna: ani zła, ani przerażona, jedynie nieco smutna. Patrzył w niebo. Czarownica podniosła nóż, lecz nagle jeszcze raz opuściła rękę i powiedziała drżącym z podniecenia głosem:

— A więc, kto zwyciężył? Ty głupcze, czy myślisz, że przez to wszystko uratujesz tego ludzkiego zdrajcę? Teraz zabiję cię zamiast niego, tak jak się umówiliśmy, i w ten sposób uczynimy zadość Wielkim Czarom. Ale kiedy już będziesz martwy, któż mnie powstrzyma przed zabiciem również i jego? Kto go WTEDY wyrwie z moich rąk? Czy już pojąłeś, że oddałeś mi Narnię na zawsze, straciłeś życie i wcale nie uratowałeś tego małego zdrajcy? A teraz, z tą świadomością — giń!

Dziewczynki nie zobaczyły ruchu jej ręki. Nie mogły już na to patrzeć i ukryły twarze w dłoniach.

Rozdział 15

NAJWIĘKSZE CZARY SPRZED POCZĄTKÓW CZASU

Zanim ukryte w zaroślach dziewczynki ośmieliły się ponownie spojrzeć na Kamienny Stół, usłyszały głos Czarownicy:

— Już po wszystkim! A teraz wszyscy za mną! Skończymy z tą wojną. Nie zajmie nam wiele czasu policzenie się z tym ludzkim robactwem i ze zdrajcami, kiedy już ten wielki głupiec, wielki kot, leży martwy.

Przez kilka chwil dziewczynkom groziło bardzo poważne niebezpieczeństwo. Oto z dzikim wrzaskiem, z jazgotem piszczałek i przenikliwym rykiem rogów cała ta podła hałastra zaczęła opuszczać szczyt wzgórza i zbiegać po zboczu tuż obok ich kryjówek. Czują widma przepływające koło nich jak chłodne powiewy i drżenie ziemi pod nogami pędzących minotaurów, a nad nimi rozlegał się ohydny łopot skrzydeł i niebo poczerniało od sępów i wielkich nietoperzy. Kiedy indziej dygotałyby ze strachu, ale teraz smutek, wstyd i przerażenie po śmierci Aslana przepępniały je

tak, że niemal nie zwracały na to uwagi.

Gdy tylko las ucichł ponownie, Zuzanna i Łucja wypełzły ze swojej kryjówki na otwartą przestrzeń na szczycie wzgórza. Księżyc zaczął się już zniżać i raz po raz przesłaniały go przejrzyste chmury, ale zarys martwego ciała na Kamiennym Stole był jeszcze dobrze widoczny. Dziewczynki uklękły w mokrej od rosy trawie, ucałowały zimny łeb Lwa i pogłaskały jego wspaniałe futro — to, co z niego jeszcze zostało — a potem płakały i płakały, aż wydało im się, że wypłakały już wszystkie łzy. A wtedy popatrzyły na siebie i schwyciły się za ręce, aby nie czuć się tak samotnie — i zapłakały znowu, a potem znów ucichły. W końcu Łucja powiedziała:

— Nie mogę już patrzeć na ten okropny kaganiec. Zastanawiam się, czy nie udałoby się nam go zdjąć.

A więc spróbowały. Nie było to łatwe, gdyż palce zgrabiałały im z zimna i zaczęła się już najciemniejsza część nocy, ale wreszcie dopięły swego. A kiedy zobaczyły pysk Lwa bez kagańca, wybuchnęły płaczem raz jeszcze, a potem wytarły krew i pianę, tak jak potrafiły, i zrobiło się im jeszcze bardziej samotnie, beznadziejnie i strasznie — bardziej, niż potrafię to opisać.

— Tak sobie myślę, czy nie dałoby się go również rozwiązać — odezwała się Zuzanna.

Ale oprawcy z czystej złości zaciągnęli węzły tak mocno, że dziewczynki nie mogły sobie z nimi poradzić.

Mam nadzieję, że nikt z czytających tę książkę nie czuł się nigdy tak nieszczęśliwy jak Zuzanna i Łucja tej nocy; ale jeżeli ktoś z was przeżył kiedyś coś podobnego — jeśli płakał całą noc, aż zabrakło mu łez — to wie, że w końcu przychodzi pewien szczególny rodzaj spokoju. Człowiek czuje się tak, jakby już nic nigdy nie miało się zdarzyć. I tak mijały godzina za godziną, a dziewczynki nie czuły nawet, że robi się coraz zimniej. Aż w końcu Łucja zauważyła dwie rzeczy. Pierwszą było to, że niebo po wschodniej stronie zrobiło się nieco mniej ciemne niż godzinę wcześniej. Drugą był jakiś delikatny ruch w trawie u jej stóp. W pierwszej chwili zupełnie się tym nie przejęła. Cóż to może mieć za znaczenie? Nic się już teraz nie liczy! Ale po jakimś czasie zauważyła, że cokolwiek-to-mogło-być wpelza na głązy, podtrzymujące kamienną płytę. A potem owo cokolwiek-to-mogło-być zaczęło łązić po martwym ciele Aslana. Nachyliła się niżej. Zobaczyła coś małego i szarego.

— Aj! — krzyknęła Zuzanna z drugiej strony.

— Jakie to wstrętne! Okropne małe myszy chodzą sobie po nim. Wynoście się, wy, potworki! — I zamachała rękami, aby je przepędzić.

— Zaczekaj! — powiedziała Łucja, która przypatrywała im się uważnie z bliska. — Czy nie widzisz, co one robią?

Obie dziewczynki nachyliły się jeszcze bardziej.

— Nie do wiary! — powiedziała Zuzanna. — Cóż to za dziwy! One przegryzają więzy!

— Tak właśnie myślałam — odezwała się Łucja. — Sądzę, że to są przyjazne myszki. Biedactwa, nie zdają sobie sprawy z tego, że on jest już martwy. Myślą, że mu pomogą, gdy go rozwiążą.

Teraz zrobiło się dużo jaśniej. Dziewczynki zauważyły po raz pierwszy błądliwość swoich twarzy. Widziały wyraźnie myszy gryzące grube powrozy — tuziny i tuziny, może nawet setki małych polnych myszy. I w końcu wszystkie sznury — jeden po drugim — opadły.

Niebo na wschodzie pojaśniało, a gwiazdy zbladły — wszystkie, prócz jednej wielkiej gwiazdy, płonącej nisko nad wschodnim horyzontem. Poczuli teraz, że jest im bardzo zimno, zimniej niż w ciągu całej nocy. Myszy znikły gdzieś w trawie.

Dziewczynki usunęły resztki przegryzionych powrozów i teraz Aslan wyglądał trochę bardziej swojsko. I z każdą chwilą, gdy robiło się jaśniej i mogły widzieć go wyraźniej, jego martwa twarz

wyglądała coraz mniej strasznie.

Gdzieś poza nimi, w lesie, zaćwierkał ptak. Tak długo przedtem było cicho, że aż podskoczyły na ten dźwięk. Potem odpowiedział mu inny ptak i wkrótce cały las rozbrzmiał ptasim śpiewem. Był wczesny ranek.

— Zimno mi — powiedziała Łucja.

— Mnie też — dodała Zuzanna. — Przejdźmy się trochę.

Poszły na wschodni brzeg płaskiego szczytu i spojrzały w dół. Wielka gwiazda nad horyzontem prawie już znikła. Cała kraina w dole tonęła jeszcze w ciemnozielonym mroku, ale za nią, hen, na samym końcu świata, jaśniało już blade morze. Niebo zaczynało się czerwienić. I tak chodziły, tam i z powrotem, od martwego Aslana do wschodniego brzegu szczytu, niezliczoną ilość razy, aż porządnie się zmęczyły. I wreszcie, kiedy przystanąły akurat na krawędzi zbocza, patrząc na morze i Ker-Paravel (który mogły już teraz rozpoznać), wzdłuż linii rozdzielającej morze i niebo czerwień zamieniła się w złoto i powoli, powoli wynurzył się skrawek słońca. I w tej samej chwili usłyszały za sobą ogłuszający, straszny trzask, jakby jakiś olbrzym przełamał swoją miskę.

— Co to takiego?! — krzyknęła Łucja, wczepiając się w ramię Zuzanny.

— Ja... ja... boję się odwrócić — wyjąkała Zuzanna. — Stało się coś strasznego.

— Coś złego dzieje się z NIM! — zawołała Łucja. — Chodźmy! — I odwróciła się, pociągając Zuzannę za sobą

Wschód słońca sprawił, że teraz wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Wszystkie barwy i cienie zmieniły się, tak że przez chwilę nie zauważyły rzeczy najważniejszej. A potem to zobaczyły. Kamienny Stół był przełamany: wielka szczelina biegła od jednego końca do drugiego. Aslan znikł.

— Och! Och! Och! — wykrzyknęły dziewczynki i pobiegły do Stołu.

— Och, tego już ZA wiele! — łkała Łucja. — Mogli chociaż ciało zostawić w spokoju.

— Kto to zrobił? — krzyczała Zuzanna. — Co to znaczy? Czy to nowe czary?

— Taaak! — rozległ się za nimi potężny głos. — To nowe czary!

Odwróciły się. A tam, jaśniejący w blasku wschodzącego słońca, jeszcze większy niż przedtem, wstrząsając grzywą (która widocznie mu odrosła) stał Aslan.

— Och, Aslan! — zawołały dziewczynki, wpatrując się w niego i czując chyba tyle radości, co i strachu.

— A więc nie jesteś już martwy, kochany Aslanie? — zapytała Łucja.

— Teraz już nie — odpowiedział Aslan.

— I nie jesteś... nie jesteś... tym... — powiedziała Zuzanna drżącym głosem, nie mogąc wypowiedzieć ostatniego słowa: DUCHEM. Aslan pochylił swój złoty łeb i liźnął ją w czoło. Poczula ciepło jego oddechu i silny, przyjemny zapach bijący z jego grzywy.

— Czy przypominam ducha? — zapytał.

— Och, jesteś prawdziwy, jesteś prawdziwy! Och, Aslanie! — krzyknęła Łucja. Obie dziewczynki rzuciły się na niego i obsypały go pocałunkami.

— Ale co to wszystko znaczy? — spytała Zuzanna, kiedy już ochłonęły trochę z wrażenia.

— To znaczy — odpowiedział Aslan — że chociaż Czarownica zna Wielkie Czary, są czary jeszcze większe, o których nie wie. Jej wiedza sięga tylko początków czasu. Gdyby jednak potrafiła sięgnąć nieco dalej, w bezruch i ciemność sprzed początków czasu, poznałaby inne zaklęcie. Dowiedziałaby się, że kiedy dobrowolna ofiara, która nie dopuściła się żadnej zdrady, zostanie zabita w miejsce zdrajcy, Stół rozłamie się i sama Śmierć będzie musiała cofnąć swe wyroki. A teraz...

— O, tak! A teraz? — krzyknęła Łucja, podskakując i klaszcząc w dłonie.

— Och, dzieci — powiedział Lew — czuję, że mi wracają siły. Och, dzieci, złapcie mnie, jeśli po-

traficie!

Przez chwilę stał nieruchomo, z błyszczącymi oczami, drżącymi, napiętymi łapami i śmigającym na boki ogonem. Potem skoczył nagle nad ich głowami i wylądował po drugiej stronie Stołu. Łucja śmiejąc się (choć nie wiedziała dlaczego) wgramoliła się na szczątki kamiennej płyty, aby go złapać. Ale gdy już była po tamtej stronie, Aslan skoczył znowu. Rozpoczęła się zwariowana zabawa. Ścigały go po całym szczycie wzgórza; Lew krążył wokół, to daleki, nie do pochwycenia, to znów pozwalając im prawie złapać się za ogon, to opadając w skoku między nimi, to wyrzucając je w powietrze podrzutem potężnych, miękkich łap i chwytając je bezpiecznie z powrotem, to zatrzymując się raptownie w ucieczce, aż cała trójka turlała się razem po trawie w roześmianym kłębku futra, rąk, nóg i łap. Takich swawoli nikt by się nie spodziewał; Łucja nie bardzo wiedziała, czy to zabawa z piorunem, czy zabawa z rozkosznym kotem. I ciekawa rzecz: kiedy już wszyscy troje leżeli w słońcu oddychając głęboko, dziewczynki nie czuły się wcale ani zmęczone, ani głodne, ani spragnione.

— A teraz — odezwał się wreszcie Aslan — teraz wracajmy do naszych spraw. Czuję, że zaraz będę ryczał. Lepiej zatkajcie sobie uszy palcami.

I tak zrobili. A Aslan podniósł się i kiedy otworzył paszczę, wyglądał tak strasznie, że nie śmiały na niego patrzeć. Zobaczyły tylko, jak drzewa ugięły się pod podmuchem jego ryku, tak jak trawy uginają się na łące pod powiewem wiatru. Potem powiedział:

— Mamy przed sobą daleką drogę. Będziecie podróżować na moim grzbiecie.

I położył się, a dzieci wspięły się na jego ciepły, złoty grzbiet; Zuzanna usiadła na przedzie, chwytając się jego grzywy, a Łucja za nią, obejmując ją mocno rękami. A Lew podniósł się powoli i nagle skoczył naprzód, i szybciej od najszybszego konia popędził susami po zboczu wzgórza, a potem przez gęstniejący las.

Ta jazda była chyba ich najcudowniejszym przeżyciem w czasie całego pobytu w Narnii. Jeździliście kiedy pełnym galopem na koniu? Pomyślcie o tym, a potem odejmijcie głuchy tętent kopyt i dzwonienie upręży, a zamiast tego wyobraźcie sobie prawie bezszelestne opadanie wielkich łap. I zamiast czarnego, siwego lub kasztanowego grzbietu konia wyobraźcie sobie miękkie, złociste futro i grzywę powiewającą w pędzie. A potem wyobraźcie sobie, że pędzicie dwa razy szybciej niż na najlepszym koniu wyścigowym. W dodatku wasz wierzchowiec nie musi być kierowany i nigdy się nie męczy. Pędzi wciąż naprzód i naprzód, nigdy się nie potyka, nigdy nie zawaha, zawsze bezbłędnie znajduje drogę między pniami drzew, przeskakuje przez krzaki, wrzosa i małe strumienie, przechodzi w bród przez większe, śmiało przepływa przez największe. I nie galopujecie po drodze, po parku ani nawet po wydmach, ale wprost przez Narnię, pośród wiosny, między rzędami dostojnych buków i przez słoneczne polany, pod dębami i przez dzikie sady pełne wiśni obsypanych śnieżnobiałym kwieciem, obok ryczących wodospadów, omszałych skał i odpowiadających echem jaskiń, po zboczach wichrowych wzgórz porośniętych jałowcem i przez przełęczę pokryte wrzosem, przez przepastne, zapierające dech grzbiety górskie — i znowu w dół, w dół, w dół, w dzikie wąwozy, a potem przez nie kończące się łąki pokryte błękitnymi kwiatami.

Było prawie południe, gdy z wysokiego wzgórza zobaczyły zamek, wyglądający z tej odległości jak zabawka. Ale Lew pędził po zboczu z taką szybkością, że zamek rósł z każdą chwilą i zanim zdążyły zapytać jedna drugą, co to jest, byli już na dole. I teraz nie wyglądał już jak zabawka, ale srożył się przed nimi mnóstwem złowrogich, ostro zakończonych wieżyc. Między blankami i w strzelnicach nie dostrzegły żywej duszy, a wrota były zamknięte. Aslan, nie zwolniwszy nawet biegu, skoczył ku twierdzy jak pocisk.

— Dom Czarownicy! — krzyknął. — Teraz, dzieci, trzymajcie się mocno!

W następnej chwili cały świat odwrócił się nagle do góry nogami, a dzieci poczuli, jakby się coś z nich wyrwało i zostało w tyle, bo oto Lew sprężył się do skoku, jakiego nawet on sam nigdy jeszcze nie wykonał, i skoczył — albo może lepiej powiedzieć: poszybował w powietrzu — ponad murami zamku. Obie dziewczynki, bez tchu, ale żywe i całe, zsunęły się z jego grzbietu pośrodku rozległego, pokrytego kamiennymi płytami dziedzińca, zapełnionego posągami.

Rozdział 16 CO SIĘ STAŁO Z POSĄGAMI

CÓŻ TO ZA NIESAMOWITE MIEJSCE! — zawołała Łucja. — Jakie dziwne, te wszystkie kamienne zwierzaki, o, i ludzie! To wygląda jak... jak muzeum.

— Sza! — powiedziała Zuzanna. — Aslan coś robi.

Miała rację. Aslan zbliżył się do kamiennego lwa i dmuchnął na niego. Potem błyskawicznie okręcił się w miejscu — zupełnie jak kot próbujący złapać własny ogon — i dmuchnął na kamiennego krasnoludka, który (jak pamiętacie) stał kilka kroków przed lwem, obrócony do niego plecami. Potem chuchnął na wysmukłą kamienną driadę, stojącą za krasnoludkiem, zwrócił się nagle w stronę kamiennego królika po prawej stronie, a potem ku dwóm centaurom. I w tym momencie Łucja zawołała:

— Och, Zuzanno! Spójrz! Spójrz na tego lwa! Mam nadzieję, że widzieliście, jak ktoś przykładając zapaloną zapałkę do kawałka gazety podłożonego na palenisku pod drewnem: przez chwilę nic się nie dzieje, potem pojawia się cienka smuga ognia, pełzająca wzdłuż brzegu gazety. Coś podobnego działo się z lwem. Kiedy Aslan na niego dmuchnął, przez dobrą chwilę lew stał dalej nie zmieniony. Potem cienka smuga złota zaczęła pojawiać się na jego białym, marmurowym grzbiecie, za chwilę rozszerzyła się gwałtownie, aż złocisty kolor spłynął na całą postać, tak jak płomień liżący kawałek papieru; wreszcie, podczas gdy jego zad zdawał się wciąż jeszcze być z kamienia, lew wstrząsnął grzywą, a wszystkie ciężkie, kamienne fałdy rozsypały się w kaskadę żywych włosów. Otworzył wielki, czerwony wewnątrz pysk, ciepły i żywy, i cudownie ziewnął. Teraz również i tylne łapy ożyły: lew podniósł jedną i podrapał się za uchem. Potem, zobaczywszy Aslana, podbiegł do niego w kilku susach i zaczął brykać wokół niego, skamłając z radości i podskakując, aby polizać go w pysk.

Dziewczynki śledziły tę scenę z zapartym tchem. Ale wkrótce na całym dziedzińcu zaczęły się dziać takie dziwy, że szybko o niej zapomniały. Wszędzie ożywały kamienne posągi. Dziedziniec nie wyglądał teraz jak muzeum — już bardziej przypominał ogród zoologiczny. Najróżniejsze istoty biegały za Aslanem i tańczyły wokół niego, aż w końcu prawie zniknął w ruchliwym tłumie. W miejsce wszechobecnej martwej bieli wybuchnęły wszędzie żywe barwy: lśniące, kasztanowe boki centaurów, błękitne rogi jednorożców, jaskrawokolorowe upierzenie ptaków, czerwonobrazowe futerka i ogony lisów, psów i satyrów, żółte pończochy i szkarłatne buty krasnali; i jeszcze nimfy brzozowe w srebrze, i nimfy bukowe w świeżej, przejrzystej zieleni, i nimfy modrzewiowe w zieleni tak jasnej, że aż prawie żółtej. A w miejsce martwej ciszy cały dziedziniec rozbrzmiewał teraz radosnym porykiwaniem, rzeniem, tupotem, skamleniem, szczekaniem, kwileniem, gruchaniem, krzykami, wiwatowaniem, śpiewem i śmiechem.

— Och! — wykrzyknęła Zuzanna już innym tonem. — Spójrz! Nie wiem... to znaczy... czy to rozsądne?

Łucja spojrzała i zobaczyła, jak Aslan dmucha na stopę kamiennego olbrzyma.

— Wszystko w porządku! — zawołał Aslan radosnym głosem. — Jak tylko ożyją stopy, cała reszta pójdzie za ich przykładem.

— Nie to akurat miałam na myśli — szepnęła Zuzanna do Łucji. Ale było już za późno, aby Aslana powstrzymać, nawet gdyby zechciał jej posłuchać. Ożywały już całe nogi olbrzyma. Teraz poruszył stopami. W chwilę później zdjął maczugę z ramienia, przetarł oczy i powiedział:

— Coś takiego! Chyba musiałem się zdrzemnąć. Hej, a gdzie jest ta przeklęta mała wiedźma, która płatała się tu po ziemi! Widziałem ją gdzieś przy moich stopach.

Ale kiedy wszyscy zaczęli jeden przez drugiego wykrzykiwać mu, co się naprawdę stało, i kiedy przyłożył dłoń do ucha i poprosił, aby mu to powtórzono jeszcze raz, w końcu zrozumiał, pokłonił się przed Aslanem nisko, tak że jego głowa znalazła się na wysokości zwykłego stogu siana, i dotknął kilka razy palcami swojej czapki, a jego prostacka, brzydka twarz rozpromieniła się ze szczęścia. (Olbrzymy są już dziś tak rzadkie w Anglii i tak niewiele z nich należy do łagodnych, iż stawiam dziesięć przeciwko jednemu, że nikt z was nie widział jeszcze olbrzyma z rozpromienioną twarzą. To coś, co warto zobaczyć.)

— A teraz weźmy się za wnętrze tego Domu — powiedział Aslan. — Rozglądajcie się bacznie wokoło! Na górę, w dół i do komnaty naszej pani! Przeszukajcie każdy kąt. Nigdy nie wiadomo, gdzie jeszcze mogą być ukryci jacyś biedni więźniowie.

Wszyscy ruszyli do środka i przez następne kilkanaście minut cały ten ciemny, posępny i cuchnący stęchlizną stary zamek rozbrzmiewał echem otwieranych okien i przekrzykujących się nawzajem głosów: „Nie zapomnijcie o lochach!”, „Pomóż nam przy tych drzwiach!”, „Tu są jeszcze jedne kręte schodki!”, „Och! Uwaga, tu jest jeszcze jeden biedny kangur! Zawołajcie Aslana!”, „Aaaaapsik! Co tu tak śmierdzi?”, „Uważajcie na tę zapadnię!”, „Tu, na górę! Tu jest ich jeszcze mnóstwo na piętrze!” Ale najlepsze było, gdy Łucja wbiegła na górę i krzyknęła:

— Aslanie! Aslanie! Znalazłam pana Tumnusa! Och, chodź tutaj szybko!

I w chwilę później Łucja i jej mały przyjaciel tańczyli z radości wokoło, trzymając się za ręce. Faun nie zmienił się wcale, będąc tak długo kamienną figurą, i oczywiście bardzo był ciekaw wszystkiego, co mu Łucja miała do opowiedzenia.

Wreszcie przetrząsanie twierdzy Białej Czarownicy dobiegło końca. Cały zamek był już pusty, każde drzwi i każde okno szeroko otwarte, a światło i świeże, wiosenne powietrze przenikały do tych wszystkich złowrogich miejsc, które tak długo były ich pozbawione. Tłum wyzwolonych leśnych istot zapełnił dziedziniec. I właśnie wtedy ktoś (myślę, że to był Tumnus) powiedział:

— Ale jak my się stąd wydostaniemy? Pamiętajcie bowiem, że Aslan przeskoczył przez mur, a brama była wciąż zamknięta.

— Nie ma się o co martwić — odpowiedział Aslan, wzniosł się na tylnych łapach i zawołał do olbrzyma:

— Hej! Chodźże tutaj! Jak ci na imię?

— Olbrzym Grzmotołup, jeśli wasza miłość pozwoli — odpowiedział olbrzym, jeszcze raz dotykając ręką kapelusza.

— A więc, olbrzymie Grzmotołupie — powiedział Aslan — wypuść nas stąd, dobrze?

— Tak jest, wasza miłość. To dla mnie wielka przyjemność. Odsuńcie się na przyzwoitą odległość od bramy, maluchy.

Potem podszedł do wrót kilkoma wielkimi krokami i —bang—bang—bang— zahuczała jego wielka maczuga. Wrota zatrzeszczały przy pierwszym uderzeniu, zatrzeszczały przy drugim i zadygotały przy trzecim, ale pozostały zamknięte. Złapał więc każdą z wież strzegących bramy i po kilku minutach strasznych trzasków wieże, a z nimi spory kawał muru po obu stronach bramy,

runęły z łoskotem na ziemię, rozbijając się w masę gruzu. Kiedy pył opadł, wszyscy stojący na tym ponurym kamiennym dziedzińcu zobaczyli zieloną trawę, falujące na wietrze drzewa, połyskującą rzekę, niebieskie wzgórza poza nią, a jeszcze dalej — błękit nieba.

— Niech skonam, jeśli się paskudnie nie zmachałem — powiedział olbrzym, dysząc jak największa w świecie lokomotywa. — Wychodzi na to, że straciłem formę. Czy któraś z was, młode damy, nie ma czasem przy sobie czegoś takiego jak chusteczka?

— Ja mam! — pisnęła Łucja, stając na czubkach palców i wyciągając rękę z chusteczką tak wysoko, jak tylko mogła.

— Dzięki ci, panienko — odrzekł olbrzym Grzmotołup i pochylił się ku niej. Łucja najadła się trochę strachu, ponieważ nagle znalazła się w powietrzu, schwyтана dwoma palcami przez olbrzyma. Była już bardzo blisko jego twarzy, gdy nagle potrząsnął głową i postawił ją łagodnie z powrotem na ziemi, mrużąc: — To ci dopiero! Przez omyłkę podniosłem dziewczynkę. Proszę mi wybaczyć, panienko, myślałem, że to chusteczka.

— Nie, nie! — powiedziała Łucja, krztusząc się ze śmiechu. — Tu jest chusteczka!

Tym razem olbrzym pochwycił właściwą rzecz, ale oczywiście chusteczka była dla niego tak mała, jak dla was pastylka sacharyny, więc gdy Łucja zobaczyła, jak z wielką powagą pociera nią swoją wielką, czerwoną twarz, zawołała:

— Obawiam się, że nie będzie pan miał z niej wielkiego pożytku, panie Grzmotołupie.

— Niezupełnie. Niezupełnie — odpowiedział grzecznie olbrzym. — Nigdy jeszcze nie widziałem tak przyjemnej chusteczki. Jaka piękna, jaka poręczna! Taka... no, nie wiem, jak ją opisać...

— Cóż to za uroczy olbrzym — powiedziała Łucja do pana Tumnusa.

— Och, tak — odrzekł faun. — Łupy zawsze są takie. To jedna z najbardziej szacownych rodzin olbrzymów w Narnii. Może nie najmądrzejsza (nigdy zresztą nie spotkałem bardzo mądrego olbrzyma), ale bardzo stara. Z tradycjami, ma się rozumieć. Gdyby należał do jakiegoś innego rodzaju olbrzymów, nigdy by go nie zamieniła w posąg.

Ale w tej chwili Aslan klasnął w łapy i uciszył wszystkich.

— Nie zrobiliśmy jeszcze wszystkiego, co przypada na ten dzień. Jeśli mamy zwyciężyć Czarownicę przed nocą, musimy jak najszybciej odnaleźć pole bitwy.

— I chyba połączyć się z resztą, miłościwy panie! — dodał największy z centaurów.

— Oczywiście — rzekł Aslan. — A teraz wszyscy, którzy nie potrafią dotrzymać mi kroku, a więc dzieci, krasnoludki, małe zwierzęta, jadą na grzbietach tych, którzy to potrafią, a więc lwów, centaurów, jednorożców, koni, olbrzymów i osłów. Ci, którzy mają dobre nosy, niech biegną na czele, razem z nami, lwami, aby wywęszyć, gdzie toczy się bitwa. Dalej, żywo, rozejrzyjcie się wokoło i podzielcie między sobą!

Zaczęła się wielka krzątanina i wrzawa. Najbardziej zadowolony był drugi lew, który biegał tu i tam, udając bardzo zajętego, ale tak naprawdę chciał tylko powiedzieć każdemu, kogo spotkał: „Słyszeliście, co on powiedział? Z NAMI LWAMI. To znaczy z nim i ze mną. Z NAMI LWAMI. To właśnie lubię w Aslanie. Żadnego wynoszenia się nad innych. Z NAMI LWAMI. To znaczy z nim i ze mną”. Powtarzał to w kółko do chwili, gdy Aslan wsadził mu na grzbiet trzech krasnali, driadę, trzy króliki i jeża. To go trochę ostudziło.

Kiedy wszyscy byli gotowi (a długo by to trwało, gdyby nie wielki owczarek, który pomógł Aslanowi zebrać ich i odpowiednio podzielić), opuścili zamek przez wyłom w murze. Z początku lwy i psy rozbiegły się, węsząc, w poszukiwaniu śladu. Ale wnet jeden z wielkich psów złapał trop i zaszczekał. Nie było na co czekać. Wkrótce lwy, psy, wilki i inne łowcze zwierzęta gnały w pełnym biegu po śladzie przy ziemi, a o jakieś pół mili za nimi pędziła cała reszta, tak szybko, jak tylko

potrafiła. Przez las niosła się wrzawa, przypominająca odgłosy polowania na lisa, tyle że bardziej doniosła, gdyż raz po raz do ujadania psów dołączył się ryk drugiego lwa, a czasem jeszcze głośniejszy i jeszcze straszniejszy ryk samego Aslana. Ślad był coraz świeższy i tempo pogoni rosło. I wreszcie, kiedy dotarli do ostatniego załomu wąskiego, krętego wąwozu, Łucja usłyszała ponad tym ujadaniem i rykiem jakiś inny hałas, który przeszył ją dreszczem lęku. Był to odgłos krzyków i uderzania metalem o metal. W chwilę potem wydostali się z wąwozu i Łucja zobaczyła, co ten zgiełk oznaczał. Zobaczyła Piotra, Edmunda i całą resztę armii Aslana walczących zaciekle z hordami tych strasznych istot, które widziała ubiegłej nocy. Teraz, w świetle dnia, wyglądały jeszcze bardziej niesamowicie i złowrogo; wydawało się też, że jest ich jeszcze więcej. W porównaniu z tym tłumem armia Piotra — ustawiona do Łucji plecami — sprawiała wrażenie żałośnie słabej. Pole bitwy usiane było kamiennymi posągami, co dowodziło, że Czarownica z powodzeniem używa swojej różdżki. Ale teraz posługiwała się inną bronią — swoim krzemienym nożem — a jej przeciwnikiem był Piotr. Walczyli tak zaciekle, że Łucja z trudem mogła się zorientować w przebiegu pojedynku; widziała tylko błyski kling krzemienego noża Czarownicy i stalowego miecza Piotra, wznoszących się i opadających tak szybko, jakby to były trzy noże i trzy miecze. Ta para walczyła w samym środku, a wokół niej rozciągała się linia starcia obu armii. Gdziekolwiek spojrziała, działy się rzeczy straszne.

— Złączcie na ziemię, dzieciaki! — zawołał Aslan i obie zsunęły się z jego grzbietu. Z rykiem, który wstrząsnął całą Narnią, od Latarni na zachodzie do brzegu morza na wschodzie, olbrzymie zwierzę skoczyło na Białą Czarownicę. W ułamku sekundy Łucja zobaczyła tylko jej twarz, na której zamarł grymas zdumienia i przerażenia, potem znalazła się na ziemi, a Lew był już nad nią, a jednocześnie cała wojownicza hurma stworzeń, wyprowadzonych przez Aslana z zamku, zaatakowała wściekle linię wroga: krasnale swoimi toporami, psy kłami, olbrzymy maczugami (i stopami, które miażdżyły tuziny przeciwników), jednorożce swoimi rogami, centaury mieczami i kopytami. Wyczerpana walką armia Piotra wydała okrzyk radości, nowo przybyli ryknęli dziko, a szeregi wroga zaszargotały i zawyły w odpowiedzi, aż echo tego niespodziewanego ataku odbiło się gromko od ściany lasu.

Rozdział 17

POLOWANIE NA BIAŁEGO JELENIA

NIE MINEŁO NAWET KILKA MINUT od ich przybycia, a było już po bitwie. Większość wrogów zginęła w wyniku pierwszej szarży Aslana i jego towarzyszy, a kiedy ci, którzy pozostali przy życiu, zobaczyli śmierć Czarownicy, poddali się albo rzucili do ucieczki. Łucja zobaczyła Piotra i Aslana ściskających sobie ręce. Dziwne było widzieć Piotra takim, jakim był teraz: jakby postarzały, z twarzą pobladłą i srogą.

— To wszystko zasługa Edmunda, Aslanie — mówił Piotr. — Gdyby nie on, byłoby już po nas. Czarownica zamieniała nasze szeregi w kamień, gdzie tylko skierowała swą różdżkę. Ale jego nic nie zdołało powstrzymać. Pokonując trzech ogrów, przebił się do niej, gdy właśnie zamieniała w posąg jednego z twoich leopardów. Gdyby próbował ugodzić mieczem w nią samą, z pewnością byłby już zimnym głazem: ten błąd popełniło przed nim wielu innych. Był na tyle mądry, że uderzył mieczem w jej różdżkę. Kiedy się rozsypała, pojawiła się przed nami jakaś szansa. Gdybyśmy tylko nie stracili przedtem tylu wojowników. Ale i on został ciężko ranny. Musimy iść i zobaczyć, co się z nim dzieje.

"Znaleźli Edmunda opodal linii walki, pod opieką pani Bobrowej. Cały był we krwi, usta miał

otwarte, a jego twarz nabrała niedobrego, zielonego koloru.

— Łucjo, prędko! — powiedział Aslan.

I Łucja, chyba po raz pierwszy, przypomniała sobie o drogocennym napoju, który dostała od Świętego Mikołaja. Ręce tak jej drżały, że przez chwilę nie mogła sobie poradzić z otworzeniem flaszeczki. W końcu zdołała wlać kilka kropel w usta brata.

— Są jeszcze inni ranni — powiedział Aslan, gdy wpatrywała się wciąż z napięciem w bladą twarz Edmunda, niepewna, czy lek w ogóle podziała.

— Tak, wiem o tym — odpowiedziała ze złością. — Poczekaj trochę.

— Córkó Ewy — odezwał się Aslan bardziej poważnym głosem — inni też są o krok od śmierci. Czy wielu jeszcze ma za niego umrzeć?

— Och, wybacz mi, Aslanie — powiedziała Łucja, podnosząc się i idąc za nim. Przez następne pół godziny oboje mieli pełne ręce roboty — ona przy rannych, on przywracając do życia tych, którzy zostali zamienieni w posąg. Kiedy wreszcie mogła wrócić do Edmunda, zastała go już na nogach, nie tylko wyleczonego z ran, ale wyglądającego lepiej niż kiedykolwiek, przynajmniej od czasu, gdy po raz pierwszy poszedł do tej okropnej szkoły, gdzie zaczęło się z nim dzieć coś złego. Teraz znowu był prawdziwym sobą i patrzył innym prosto w oczy. I w tym miejscu, na polu bitwy, Aslan pasował go na rycerza.

— Czy on chociaż wie — szepnęła Łucja do Zuzanny — co Aslan dla niego uczynił? Czy wie, jakie były warunki umowy z Czarownicą?

— Ciiiiicho! Nie, oczywiście nie wie — odpowiedziała Zuzanna.

— A czy nie powinien się dowiedzieć?

— Och, na pewno nie. To byłoby dla niego zbyt straszne. Pomyśl, jak byś się czuła, gdybyś była na jego miejscu.

— Mimo to uważam, że powinien o tym wiedzieć — upierała się Łucja, ale w tym momencie ktoś im przerwał i rozmowa się skończyła.

Tej nocy spali w pobliżu pola bitwy. W jaki sposób Aslan postarał się, aby mieli co jeść, nie wiem; tak czy owak o ósmej wszyscy siedzieli na trawie, zającąc wyborną kolację. Nazajutrz wyruszyli na wschód, wzdłuż wielkiej rzeki. A dnia następnego, około pory podwieczorku, znaleźli się u jej ujścia. Opodal wystrzelał w niebo swymi wieżycami zamek Ker-Paravel; przed nimi był piasek, skały pokryte wodorostami i małe zagłębienia pełne słonej wody. A dalej lśniła niezmiernie długa linia zielononiebieskich fal, obmywających wciąż i wciąż plażę. Pachniało morzem, słysząc było cudowny krzyk morskich mew. Słyszeliście go kiedyś? Pamiętacie?...

Tego dnia po podwieczorku dzieci raz jeszcze zeszły na plażę i zdjawszy buty i skarpetki, spacerowały w słońcu czując, jak piasek przesypuje się im między palcami. Ale następny dzień był bardziej uroczysty. Wówczas to w wielkiej sali Ker-Paravelu — w owej wspaniałej sali ze stropem z kości słoniowej, z zachodnią ścianą pokrytą pawimi piórami i wschodnią z drzwiami otwartymi na morze — w obecności przyjaciół i przy dźwiękach trąb Aslan ukoronował uroczystie wszystkich czworo i powiódł ich do czterech tronów wśród ogłuszających okrzyków: „Niech żyje król Piotr! Niech żyje królowa Zuzanna! Niech żyje król Edmund! Niech żyje królowa Łucja!”

— Zostając królem lub królową w Narnii — oznajmił Aslan — zostaje się królem lub królową na zawsze. Noście te korony godnie, Synowie Adama! Noście je godnie, Córkó Ewy!

Tak więc dzieci zasiadły na tronach, wręczono im berła i mogły teraz nagrodzić zaszczytami i podarkami wszystkich swoich przyjaciół: fauna Tumnusa, państwa Bobrów, olbrzyma Grzmołupa, leopardy, dobre centaury, karły i lwa. I tej nocy w Ker-Paravelu odbył się wielki bal: ucztowano i tańczono, lśniło złoto i płynęło wino, a w odpowiedzi na muzykę rozbrzmiewającą w

wielkiej sali z zewnątrz dobiegała do nich raz po raz muzyka mieszkańców morza — bardziej dziwna, bardziej słodka i bardziej wzruszająca.

Gdzieś w środku tych zabaw i śpiewów Aslan niepostrzeżenie się oddalił. A kiedy królowe i królowie to zauważyli, nie powiedzieli nic. Pan Bóbr ostrzegł ich wcześniej: „Aslan przychodzi i odchodzi. Jednego dnia go widzisz, drugiego już nie. Nie lubi być niczym skrepowany, no i, oczywiście, ma wiele innych krajów pod swoją opieką. Tak powinno być. Będzie zresztą do nas zaglądał. Tylko nie próbujcie nalegać, aby został. Wiecie już, że jest dziki. To nie jest OSWOJONY lew”.

I tutaj, jak sami widzicie, moja opowieść zbliża się (choć jeszcze niezupełnie) do końca. Dwaj królowie i dwie królowe rządili Narnią sprawiedliwie, a panowanie ich było długie i szczęśliwe. Z początku musieli poświęcić większość czasu na wyszukanie i zniszczenie niedobitków armii Białej Czarownicy. Jeszcze przez długi czas dochodziły sygnały o pojawieniu się różnych złych stworów w najbardziej niedostępnych częściach puszczy: tu coś straszło, tam trwożna wieść niosła o jakimś tajemniczym mordzie, jednego miesiąca gdzieś pojawiał się wilkołak, a innego rozchodziły się niepokojące nowiny o jakiejś wiedźmie. W końcu jednak całe to plugawe plemię zostało wytepione. Ustanowili sprawiedliwe prawa, utrzymywali pokój, czuwali, aby nie wycinano niepotrzebnie dobrych drzew, stawali w obronie małych krasnoludków i satyrów, kiedy chciano je siłą posłać do szkoły, wyplenili intrygi i waśnie oraz opiekowali się zwykłymi mieszkańcami lasu, aby mogli żyć swobodnie i aby pozwalali żyć innym. Wyparli dzikich olbrzymów (zupełnie innego rodzaju niż olbrzym Grzmotołup), kiedy ci przedarli się przez północną granicę Narnii. Zawarli przymierza z krajami poza morzem oraz złożyli tam oficjalne wizyty przyjaźni i przyjęli oficjalne delegacje z tych krajów u siebie. A w miarę jak upływały lata, zmienili się i wydorośleli. Piotr stał się wysokim, barczystym mężczyzną i słynnym rycerzem, a nazywano go królem Piotrem Wspaniałym. Zuzanna wyrosła na smukłą, pełną wdzięku dziewczynę o czarnych, opadających prawie do stóp włosach; wkrótce królowie z zamorskich krajów zaczęli przysyłać swych posłów, prosząc o jej rękę. Nazywano ją królową Zuzanną Łagodną. Edmund stał się mężczyzną poważniejszym i spokojniejszym niż Piotr i zasłynął z mądrych rad i wyroków, a nazywano go królem Edmundem Sprawiedliwym. A Łucja pozostała wciąż tak samo żywa i złotowłosa, a wszyscy książęta z państw ościennych pragnęli, aby została ich królową. Jej własny lud nazywał ją królową Łucją Mężną.

I tak żyli sobie w wielkiej radości, a jeśli kiedykolwiek wspomnieli swoje życie w naszym świecie, było to tylko jakby wspomnienie snu. A jednego roku zdarzyło się, że Tumnus (który był teraz faunem w średnim wieku i trochę już przytył) przywędrował do nich z biegiem rzeki i przyniósł wiadomość o tym, że w jego okolicy pojawił się znowu Biały Jeleń — ten sam, który spełnia każde życzenie, jeśli się go schwyta. Tak więc obaj królowie i obie królowe, wraz z co znamienitszymi członkami swych dworów, wśród dźwięku rogów i szczekania psów, wyruszyli na wielkie polowanie do Zachodniej Puszczy, aby schwytać Białego Jelenia. Tropili go bardzo długo, zanim go wreszcie zobaczyli. Wówczas zaczęli gonitwę, a jeleń wiódł ich przez góry i równiny, przez gąszcze i polany, aż konie wszystkich dworzaków zmęczyły się tak, że musieli zrezygnować z dalszej gonitwy; tylko tych czworo dalej ścigało zaczarowane zwierzę. Wreszcie Biały Jeleń zawiódł ich do puszczy tak gęstej, że nie mogli już dalej jechać konno. Wówczas odezwał się król Piotr (a mowa jego była teraz nieco inna, skoro tak długo był monarchą):

— Szlachetne siostry i prawy bracie, zsiądźmy teraz z naszych koni i pójdźmy za tym Jeleniem w gęstwinę, nigdy bowiem nie zdarzyło mi się polować na tak godną zwierzynę.

— Panie — odpowiedzieli — niech więc stanie się tak, jak chcesz.

Zatem zeskoczyli z koni i przywiązali je do drzew, a potem weszli w gęstwinę leśną. Jak tylko to jednak uczynili, królowa Zuzanna powiedziała:

— Mili przyjaciele, oto jest dziw nad dziwy, jeśli mnie bowiem oczy nie mylą, widzę oto drzewo z żelaza.

— Pani — rzekł król Edmund — jeśli przypatrzysz się dobrze temu drzewu, ujrzysz, że jest to kolumna z żelaza, a na jej szczycie znajduje się lampa.

— Na grzywę Lwa, dziwny to obyczaj — odezwał się król Piotr — stawiać lampę tam, gdzie drzewa wokoło są tak gęste, że gdyby ją zapalono, nikt by nie dostrzegł jej światła!

— Panie mój — powiedziała królowa Łucja — zapewne kiedy stawiano tę lampę, drzewa były tu mniejsze albo radsze, albo też nie było ich wcale. Widać bowiem, że las jest tu młody, a żelazna kolumna stara.

I tak stali, patrząc na to dziwo, aż król Edmund powiedział:

— Nie wiem, czemu tak się dzieje, ale widok tej lampy na słupie dziwne we mnie rodzi uczucie. W sercu mym czuję, jakbym już ją kiedyś widział, jakby to był sen albo sen we śnie.

— Panie — odpowiedzieli troje pozostali — tak jest i z nami.

— I więcej jeszcze — dodała królowa Łucja — nie mogę bowiem oprzeć się przecuciu, że jeśli miniemy ten słup z lampą, spotkają nas jakieś dziwne przygody albo też dokona się wielka odmiana naszych losów.

— Pani — rzekł król Edmund — podobne przecucie przeszło i moje serce.

— I moje, szlachetny bracie — rzekł król Piotr.

— I moje także — powiedziała królowa Zuzanna. — Dlatego też posłuchajcie mojej rady: nie zwlekając powróćmy do naszych koni i zaprzestańmy gonitwy za Białym Jeleniem.

— Pani — rzekł król Piotr — racz mi wybaczyć, ale jestem odmiennej myśli. Nigdy jeszcze, odkąd my czworo panujemy w Narnii, nie przyłożyliśmy ręki do spraw wyższej wagi, takich jak bitwy, gonitwy, wyczyny rycerskie, dzieła sprawiedliwości i temu podobne, tylko po to, aby je następnie porzucić; zawsze sięgaliśmy celu, który sobie zamierzaliśmy.

— Siostrze — dodała królowa Łucja — mój królewski brat ma rację. I myślę, że byłoby hańbą, gdybyśmy z powodu jakichś lęków lub przecuć zaprzestali ścigania tak szlachetnego zwierzęcia, na jakie przyszło nam polować.

— Takie jest i moje zdanie — oświadczył król Edmund — a przy tym tak wielce pragnę odkryć znaczenie tej dziwnej rzeczy, że nie zawróciłbym z drogi za najdroższy klejnot w całej Narnii i za wszystkie wyspy.

— A więc w imię Aslana — powiedziała królowa Zuzanna — skoro wszyscy także sądzicie, pójdźmy i stawmy czoło przygodzie, która nas czeka.

Zatem weszli śmiało w gęstwinę leśną i zanim jeszcze zdążyli zrobić pierwsze dwadzieścia kroków, przypomnieli sobie, że owa dziwna rzecz nazywa się Latarnią, a zanim zrobili drugie dwadzieścia kroków, zauważyli, że nie przeciskają się już między gałązkami jodeł, lecz między futrzanymi płaszczami. A w chwilę później wszyscy wysypali się — jedno po drugim — przez otwarte drzwi starej szafy do pustej garderoby i nie byli już królami i królowymi we wspaniałych myśliwskich strojach, lecz Piotrem, Zuzanną, Edmundem i Łucją w starych dzieciennych ubrankach. I był to ten sam dzień i ta sama jego pora, kiedy wszyscy czworo wskoczyli do szafy, aby się w niej schować. Z korytarza dobiegły ich głosy pani Macready i zwiedzających, ale na szczęście nikt nie wszedł do garderoby i dzieci nie zostały odkryte.

I to byłby już naprawdę koniec tej historii, gdyby cała czwórka nie poczuła, że naprawdę trzeba wyjaśnić Profesorowi, dlaczego w starej szafie brakuje czterech płaszczy. A Profesor, który był

człowiekiem bardzo osobliwym, nie powiedział im nic takiego, jak: „Nie bądźcie głupi!” albo: „Przestańcie kłamać!”, ale uwierzył w całą tę historię.

— Nie — powiedział — nie sądzę, aby mogło coś dobrego wyniknąć z próby powrotu do Narnii przez drzwi szafy w celu przyniesienia tych płaszczy.

Nie dostaniecie się już do Narnii TĄ drogą. I nie sądzę, aby był wielki pożytek z tych płaszczy, nawet gdybyście się tam dostali. Cóż to? Co się stało? No więc, tak, oczywiście, kiedyś jeszcze do Narnii powrócicie. Kto raz został królem w Narnii, na zawsze nim pozostanie. Ale nie próbujcie nigdy używać tej samej drogi. Powiem więcej: nie PRÓBUJCIE w ogóle tam się dostać. To się stanie samo, właśnie wtedy, kiedy nie będziecie się o to usilnie starać. I nie rozmawiajcie za dużo o tym wszystkim, nawet między sobą. A innym w ogóle o tym nie wspominajcie, chyba że spotkacie takich, co sami przeżyli przygody tego rodzaju. Co znowu? Po czym to poznać? Och, będziecie o tym dobrze WIEDZIEĆ. Będą mówić dziwne rzeczy, a nawet ich wygląd będzie nieco dziwny. Miejcie oczy otwarte. Coś takiego! Czego oni ich NAPRAWDĘ uczą w tych szkołach!

I tu już jest naprawdę koniec przygody ze starą szafą. Ale, jeśli Profesor miał rację, był to dopiero początek narnijskich przygód.

SPIS ROZDZIAŁÓW

- Rozdział 1 Łucja zagląda do szafy
- Rozdział 2 Co Łucja tam zobaczyła
- Rozdział 3 Edmund wchodzi do szafy
- Rozdział 4 Ptasie mleczko
- Rozdział 5 Z powrotem po tej stronie drzwi
- Rozdział 6 W puszczy
- Rozdział 7 Dzień u bobrów
- Rozdział 8 Co wydarzyło się po obiedzie
- Rozdział 9 W Domu Czarownicy
- Rozdział 10 Czary zaczynają tracić swą moc
- Rozdział 11 Aslan jest blisko
- Rozdział 12 Pierwsza walka Piotra
- Rozdział 13 Wielkie czary z zamierzchłych czasów
- Rozdział 14 Triumf Czarownicy
- Rozdział 15 Największe czary sprzed początków czasu
- Rozdział 16 Co się stało z posągami
- Rozdział 17 Polowanie na Białego Jelenia